Nr. 26. **Poznań, Niedziela, dnia 29-go Czerwca 1902 r.** **Rok VI.**



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 mk.***; *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 73 hal***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.***, *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.***, *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Zwrot w Słowiańszczyźnie.

Od lat przeszło tysiąca toczy się bój ciężki pomiędzy Niemcami a Słowiańszczyzną. Na rumowiskach plemion ich licznych rozsiadła się pycha i buta niemiecka, żądna ze zdobytych krain wymazać nawet ślady istnienia szczepu słowiańskiego, któryby podług miary naturalnych sił wszystkich swych plemion władać powinien nad Europą całą, a z którego żywioł niemiecki wciąż spore pożera kawały. Żal niezmierny ogarnia duszę, gdy się spojrzy na te obszary wielkie w dzisiejszej Meklemburgii i części Szlezwigu, ku Bałtykowi rozpostarte, niegdyś do Obotrytów należące, lub niżej na wendyjskie dzielnice, wreszcie na ten Szlązk bogaty, zaledwie na południu, w górnej swej części, przeważnie przez Polaków zamieszkały. Wszędzie tam dziś świecą pruskie pikelhauby, wszędzie widnieją czarnobiałe słupy i chorągwie na szczytach gmachów, wszędzie razi wrzaskliwy patryotyzm pruski, znamienny swą tolerancyą i brutalnością. Łatwy stosunkowo proces wynaradawiania plemion słowiańskich zaostrzył apetyt Niemców ku wschodowi do tego stopnia, że w zachłanności swej uważają już teraz żywioł polski za należący się im z wyższego jakby przeznaczenia, za żer, który mają prawo jak najwcześniej wchłonąć, strawić i zasymilować, ażeby nabrać nowych pożądliwości ku wschodowi. W tem urojeniu, zbliżającem się do szału, stworzyli z biegiem lat całą machinę do miażdżenia i pożerania narodowości naszej, — ów systemat wrogi, mający jednocześnie narodowość polską złamać duchowo, obezwładnić moralnie a cieleśnie wygłodzić.

Przez długi czas narody słowiańskiego szczepu spoglądały obojętnie na proces dziejowy, toczący się od tylu stoleci. Nie było siły, któraby ustawicznemu parciu niemczyzny w granicach dzierżaw słowiańskich położyła tamę. Nie było ducha, w którymby się zespoliły uczucia wspólności szczepowej, zespoliło zrozumienie pewnych interesów i dążeń.

Nie poruszyły tego ducha żadne gwałtowniejsze kataklizmy dziejowe, żadne walki, żadne zwycięstwa ani zdobycze niemczyzny.

Najgorszem zaś to, że najliczniejszy naród słowiański podał Niemcom rękę do powalenia jednego z najbardziej ucywilizowanych plemion pobratymczych tj. Polaków.

Niekiedy zjawiał się na widowni mąż przenikający dalej przyszłość, który głośniejszemi hasłami powoływał ludy słowiańskie do łączności, solidarności i spójni. Ale hasła te przebrzmiewały niestety z powodu powszechnej obojętności i bierności, jako też z przyczyny międzyplemiennych w Słowiańszczyźnie zatargów i nawet wrogiego usposobienia.

I dziś wprawdzie o solidarności słowiańskiej w ścisłem jej pojęciu niema mowy, ale z zadowoleniem stwierdzić należy, że się w Słowiańszczyźnie dokonuje obecnie coś, co może kiedyś stanowić podkład do odmiennego rozwoju stosunków i do naprawy wielkich dziejowych błędów. Nie ulega kwestyi, że tak samo jak dawniejszemi czasy, tak też i teraz nie byłoby tak jawnych prądów dążących do zespolenia Słowiańszczyzny, chociaż duchowego na razie, gdyby nie był nastąpił olbrzymi rozrost potęgi niemieckiej pod przywództwem Prus w charakterze wrogim nietylko samym Polakom, ale całej Słowiańszczyźnie. Cały systemat antypolski w Prusiech, dążący jawnie do zgiermanizowania dzielnic wschodnich a jednocześnie wzmagający się ruch wszechniemiecki dokonał tego, czego przedtem żaden gwałt historyczny dokonany na Słowiańszczyźnie dokazać nie zdołał. Słusznie pisze „Kölnische Volksztg.", że „polityka antypolska zaalarmowała całą Słowiańszczyznę wschodniej Europy: od Petersburga do Pragi, od Kijowa do gór bałkańskich zaznacza się żywy ruch protestu." Tak jest istotnie. Niebywałe wypadki w szkołach dzielnic polskich monarchii pruskiej; sprawa wrzesińska

z swemi wyrokami pamiętnej surowości; smutny los licznych akademików i gimnazyastów polskich; nowy 250 milionowy fundusz na naszą zagładę uchwalony, a wszystko przeplatane krętackiemi, wstrętnemi pod względem hypokryzyi i kłamstwa, pychy i brutalności mowami w sejmie i w parlamencie wstrząsnęły rzeczywiście Słowiańszczyzną i poruszyły w niej drzemiące pobratymcze uczucia.

A jeszcze bardziej — jak się zdaje — ocknęła się Słowiańszczyzna na odgłos mowy malborskiej osobliwie w nieurzędowem jej czyli niescenzurowanem jej brzmieniu. Prasa różnych słowiańskich plemion rozstrząsa enuncyacyę cesarską z niezwykłą ścisłością i wysnuwa z niej daleko idące wnioski. Mowa malborska, jako wyraz nietylko monarszych uczuć, lecz także jako głośne objawienie zamysłów, pragnień i dążeń niemczyzny podziała potężniej, niżby tego mogła dokonać jakabądź panslawistyczna agitacya.

Nie wiemy co z tego ruchu ożywionego i budzącego się ducha wspólności urobi i ukształci przyszłość dziejowa, ale to pewne, że dokonuje się obecnie zwrot ważny, który zaważyć może na szali losu plemion słowiańskich porówno jak niemczyzny.

Ordon.

Niemiecko-katolicki hakatyzm.

Już ś. p. Windhorst miał dużo zachodu nieraz, ażeby stronnictwo centrum skłonić do jednolitej zwartej obrony Polaków przeciwko antypolskiej polityce. Ogromny zastęp przedstawicieli niemieckiego katolicyzmu z tego jedynie względu nie uchylał się od solidarności w kwestyach polskich, że stronnictwo centrum straciłoby na sile łączności potrzebnej do obrony *niemiecko-katolickich interesów*, jako też przez cześć dla wielkiego i szlachetnego przywódzcy. Natomiast już wtedy urojeniem była i ułudą polską owa ufność, że co centrowiec, co Niemiec-katolik, to nasz przyjaciel, to obrońca.

Od chwili zgonu gienialnego wodza, charakter i duch współwyznawców naszych niemieckiej narodowości, ogromnej uległ zmianie. Księża niemieccy po części otwarcie traktują giermanizacyjną robotę, liczne dzienniki bywają zasilane piórem katolików wrogiego naprzeciw Polakom usposobienia, a coraz więcej Niemców katolickiego wyznania przystępuje do owego związku hakatystycznego, którego przewodnią myślą jest zagłada polskości.

Jako prawdziwy typ wzmagającej się liczebnie kategoryi tej Niemców-katolików wystąpił na arenie publicznej już kilkakrotnie, z cenną dla nas otwartością, hr. Hoensbroech. Jestto hakatysta ciałem i duszą oddany idei wyparcia żywiołu polskiego i całej prześladowczej polityce, a jeden tylko wzgląd powstrzymuje go od wstąpienia w hakatystyczne szeregi tj. ten, że hakatystów popiera znany związek protestancki „evangelischer Bund", co odstrasza go, jako katolika. Hr. Hoensbroech wszedł niedawno temu w żywsze stosunki z zarządem „Ostmarkenvereinu, powodowany widocznie chęcią bliższego porozumienia się Niemców-katolików z hakatyzmem. Jak się zdaje, porozumienie to jest już bardzo bliskiem, co wynika z ogłoszonego świeżo listu w gazetach hakatystycznych, listu hr. Hoensbroecha do Zarządu „Ostmarkenvereinu". W liście tym hr. Hoensbroech wyraża całą swą sympatyą dla hakatystów i bierze ich w obronę przed zarzutem dzienników katolickich, jakoby podlegali wpływom skrajnych, wrogich katolicyzmowi żywiołów protestanckich. „Jestto krzywdą" wyrządzaną (znanym z poczciwości chrześcijańskiej) hakatystom, jest „zapoznawaniem" historycznych faktów wzywać ich do odpowiedzialności za nadużycia jednostek przeciwko katolicyzmowi skierowane.

Hr. Hoensbroech w dalszym ciągu swego listu pochwala usiłowania polakożerców, ażeby owe 50,000 Niemców-katolików, zamieszkałych w dzielnicach wschodnich zjednać dla hakatyzmu, a ubolewa nad tem, że prasa katolicka „tendencyjną przesadą" w charakteryzowaniu protestantyzmu odstrasza Niemców-katolików od osiedlania się na wschodzie.

Takie oto sentymenty wyraził hr. Hoensbroech, którego antypolskie popisy podziwialiśmy niedawno w izbie panów.

Gdyby to był unikat w katolickiej sferze niemieckiej, z której się wyłania centrum, nie potrzebowalibyśmy z tego rodzaju polakożerczemi objawami zbyt seryo się liczyć. Ale hr. Hoensbroech jest jednostką mówiącą za wielu, jest typem wydatnym, bardzo licznych i coraz bardziej się mnożących zastępów hakatystów katolickiego wyznania. Jest to ten sam duch nam złowrogi, który się zakapturza niekiedy i przywdziewa obłudną maskę życzliwości dla nas.

Zgrzeszylibyśmy niesprawiedliwością, gdybyśmy wszystkich katolików niemieckich piętnować mieli jako obłudników i wrogów naszych. Nie, wiemy dobrze, iż jest wśród nich dużo jeszcze takich, dla których chrześcijaństwo i katolicyzm nie jest czczym wyrazem tylko. Ale ten fakt, że po drugiej stronie jest coraz liczniejsza falanga takich Hoensbroechów, nakazuje nam rozróżniać trzeźwo narodowościowe granice i otrząsać się z wszelkich bałamuctw i ułud. Nie możemy zupełnie liczyć na szczerą przyjaźń Niemców-katolików ani też ich parlamentarnego i sejmowego ciała, gdy wśród nich widzimy szeregi szermierzów antypolskich, którzy niby to wywieszają jako godło swój katolicyzm i swoje chrześcijaństwo, a wbrew zasadom, wbrew uczciwym prawdom chrześcijaństwa, bratają się z hakatyzmem — z tym bezczelnie otwartem i jawnem zaprzeczeniem naszych religijnych i ogólno-ludzkich pojęć. Idea chrześcijańska miłości bliźniego z ideą hakatystyczną zagłady słabszego nie da się skojarzyć! To nie fundament, na którym przyjaźń i sojusz z niemiecki-

mi katolikami mógłby się oprzeć. Bądźmy sobą i okażmy swą samodzielność, chociażby walka nasza jeszcze miała być twardszą i cięższą. Pod jasnem godłem i wyraźnem hasłem walczy się skuteczniej i zwycięża się łatwiej. Oddawajmy uznanie tym z pośród katolików niemieckiej narodowości, którzy nie stracili jeszcze pod stopami swemi prawdziwego chrześcijańskiego gruntu, którzy jeszcze zachowali względem nas Polaków ludzkie pojęcia i ludzkie serca. Ale nie łudźmy siebie i ludu polskiego urojeniem, że każdy Niemiec-katolik jest nam bratem lub przyjacielem; nie łudźmy go, że gdy Niemiec jednakiego z nami wyznania, to już z nim ręka w rękę iść można lub nawet trzeba. Po hrabim Hoensbroechu widzimy, iżbyśmy przez łączność taką dostać się mogli nareszcie w sferę hakatystów, w sferę tę, którą właśnie zwalczamy.

Chrońmy się od niedorzeczności.

Vester.

Polacy ewangielicy w monarchii pruskiej.

W chwili, gdy Niemcy krzątają się gorączkowo, ażeby na wschodzie, w dzielnicach polskich, zespolić wrogie nam żywioły bez różnicy wiary, gdy usiłują strącić na plan drugi przeciwieństwa i zwady pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem, byle je zwrócić do wspólnej walki przeciwko Polakom — należy i nam jednoczyć ściślej wszelkie żywioły polskie ku *narodowej* obronie bez względu na wyznanie. Wszakże w obrębie monarchii pruskiej mamy sporą liczbę rodaków protestantów przywiązanych szczerze do swej ojczyzny i swego polskiego języka, a narażonych w wysokim stopniu na giermanizacyą.

Jeżeli Polacy katolicy w Prusiech bronić się mogą przeciw uporowi krzyżactwa tylko z ogromnem natężeniem sił i wielkim nakładem ofiar, to cóż mówić o braciach naszych ewangielikach, mniej silnych liczebnie, pozbawionych duchownej opieki szczerze polskiej, narażonych ustawicznie na rozkładowe wpływy pruskich pastorów i niemieckich współwyznawców? Co prawda, odporność narodowa polskich ewangielików, objawiona w ostatnich lat dziesiątkach, usprawiedliwia nadzieję, że szalejącym falom giermańskim i oni potrafią skutecznie stawić czoło; a chociaż z zastępu walczących zbiegnie ten i ów, słabszy duchem i lichszy sercem szeregowiec, to jednak ochronić się da od zguby właśnie najdzielniejsze i najcenniejsze siły.

Mylnem i niedorzecznem, a jednak zachodzącem jeszcze u nas jest utożsamianie polskich ewangielików z Niemcami, owo tak częste bałamuctwo, że ewangielik a Niemiec to jedno. Polscy protestanci w monarchii pruskiej, lubo rozsypani po różnych okolicach i niemający wewnętrznych organicznych spojni, właśnie dobitnie przeczą takiej identyfikacyi wiernem zachowaniem swej narodowej odrębności.

I w Królestwie Polskiem sporo jest polsko-protestanckiego żywiołu; ale pomiędzy ewangielikami z tamtej strony granicy a ewangielikami rodakami w monarchii pruskiej ta zachodzi różnica, że tam mamy polsko-ewangielicką inteligencyę bez ludu, tu zaś polsko-ewangielicki lud bez inteligencyi.

Siedliskiem tego ludu nie jest jedna spojna, zwarta w sobie dzielnica, ale kilka okolic. Wewnątrz granic W. Księstwa Poznańskiego widzimy go w południowym zakątku, jaki tworzą powiaty: kempiński, ostrzeszowski i odalanowski; mniej liczne osady napotykamy w okolicach Ostrowa i Pleszewa. W graniczącej z tą częścią Księstwa dzielnicy szląskiej powiaty: sycowski (Polnisch — Wartenberg) namysłowski (Namslau) i wreszcie brzeski (Brieg) wykazują znaczne zastępy polskich ewangielików, powiat zaś kluczborski (Kreuzburg) jest w ogromnej przewadze przez nich zamieszkały. W powyższych okolicach Szląska i W. Ks. Poznańskiego jest razem niespełna 200 000 ewangielików polskiej narodowości, w tej zaś liczbie inteligencyi wyższej oprócz rodziny znanego pastora Badury w Międzyborzu (Neu - Mittelwalde) daremnie szukać!

Korzystniej przedstawiają się stosunki w prowincyi wschodnio - pruskiej czyli jak pospolicie mówią „na Mazurach.“ W powiatach łeckim (Lyck), olsztyńskim (Allenstein), jańsborskim (Johanisburg) sądzorskim (Sensburg), szczycieńskim (Ortelsburg) nidborskim (Neidenburg), wystrudzkim (Osterode) węgoborskim (Angenburg) i suskim (Rosenburg) rozsiadłych jest po wsiach głównie, około 400,000 Mazurów wyznania ewangielickiego i sekt pokrewnych.

I tam niestety stany średnie wraz z inteligencyą są niemieckiej narodowości, w ogóle jednak oświata jest większą, a świadomość praw obywatelskich na wyższym znajduje się stopniu. Rozwój narodowości na Mazowszu pruskiem byłby pomyślniejszy, gdyby nie upadek „Przyjaciela ludu“ przed 40 laty i długoletni brak organu polskiego. Dopiero przed 6 laty pojawiła się znów gazeta, specyalnie sprawie mazurskiej poświęcona, która przez długi czas krzepiła ducha wśród mazurskiego ludu i zagrzewała serca do obrony przeciwko giermanizmowi. Pismo to, szwabachą drukowane, nosiło tytuł „Gazety ludowej“ a wychodziło w Ełku. Pierwszym jej redaktorem był rodowity Mazur Karól Bahrke, ale nękany procesami po 4 latach złożył redakcyjne pióro i przeniósł się do Krakowa, a powróciwszy przez czas dłuższy cierpiał w więzieniu.

Po nim kierował redakcyą $1^1/_2$ roku przeszło, Paweł Neuhaus, a w tym czasie „Gazeta“ nabrała wyraźniejszej jeszcze cechy narodowej. Niemcy nie przebierali w środkach, ażeby wpływy tego organu mazurskiego sparaliżować. Funkcyonaryusze pruscy groźbami kar rozmaitych usiłowali odstraszyć lud od abonowania „Gazety“; należącej im się prawnie; przy wyborach do parlamentu niemieckiego usiłowano wszelkiemi sposobami poszarpać nici, łączące Mazurów z „Gazetą“, a nakoniec założono na podobiznę jej gazetę inną, fatalnym językiem pisaną, o nikczemnej giermanizatorskiej tendencyi, zapewniwszy sobie naturalnie zasiłki z tajnych funduszów.

Wszystko to niewątpliwie przyczyniło się do tego, że po 6 latach istnienia „Gazeta“ upadła. Szczerze nad tem ubolewać należy, bo wydawnictwo to na arenie walki pomiędzy zachłannem prusactwem a polskim protestantyzmem miało poważne znaczenie. Chroniąc się od zbytniego pesymizmu, nie tracimy wiary, iż duch wśród ewangielików polskich nie upadnie tak rychło, ale potrzeba mu szczerego, serdecznego, bratniego poparcia i należytej organizacyi.

W kwestyach religijnych różni bądźmy ewangielikom polskim, braćmi w zakresie narodowym i chrońmy ich od giermanizacyi!

Poznańczyk.

„Polski szowinizm“.

W ostatnim czasie coraz częściej napotykamy w polskich organach „ugodowych“ wszystkich trzech zaborów wzmianki o „*polskim szowiniźmie*“ — a zarazem

narzekania, że ten rzekomy „polski szowinizm“ szkodzi sprawie naszej, bo ściąga na nas coraz nowe prześladowania.

Ten „*polski szowinizm*“ to nowość w prasie polskiej; nie możemy sobie przypomnieć, iżby dawniej kiedykolwiek pisano u nas o *polskim* szowiniźmie.

Co wogóle oznacza wyraz *szowinizm?* Nie jest to wyraz polski, lecz francuzki, i to nowszej daty. Znaleźli się u nas badacze i znawcy, którzy wywodzili go od znanego „reformatora“ Kalwina, czyli, jak się pierwotnie zwał *Cauvina* — lecz był to wywód tak samo „trafny“, jak owo głośne czasu swego żartobliwe wyprowadzenie nazwy *Kujaw* od „die Kuh gafft in die Jacke“ śp. Hieronima Derdowskiego, poety kaszubskiego. Jakkolwiek Kalwin w sprawach wyznaniowych uprawiał zupełnie to samo, co dziś nazywa się powszechnie w sprawach narodowych *szowinizmem*, z nazwą tą nic jednak nie miał wspólnego. Przed rokiem 1831 wogóle nie znano wyrazu takiego — a może i pojęcia, jakie wyraz ten oznacza. Pojęcie to zrodziło się dopiero z chwilą silnego rozbudzenia się poczucia narodowego w ludach i przeniesienia uczucia tego, jako czynnika decydującego, także w zakres spraw *politycznych*. Wyraz zaś powstał w ten sposób: W roku 1831 pojawiła się w Paryżu komedyjka braci Cogniardów pod tytułem: „*Trójkolorowa kokarda*“. W komedyjce tej przypadła główna rola rekrutowi *Chauvin* (czytaj: Szowen), który śpiewa kuplety, pełne samochwały żołnierskiej i patryotyzmu, a kończące się zwrotką: „je suis Chauvin, je suis Français“ — co znaczy: „jestem Chauvinem, jestem *Francuzem!*“ Nazwisko dla rekruta tego wzięli zaś autorowie podobno od pewnego weterana wojen napoleońskich, który po upadku pierwszego cesarstwa wałęsał się po szynkach i kawiarniach i tam niestworzone rzeczy opowiadał o czynach oręża francuzkiego. Komedyjka ta bardzo się podobała Paryżanom, kuplety Chauvina śpiewano po ulicach — ztąd poszło, że *Chauvinami*, czyli szowinistami nazwano później wszystkich tych, którzy okazywali zbyt gorące — dla innych — poczucie narodowe i narodową pychę. Z czasem zaś określano mianem szowinizmu narodowe wyobrażenia ludzi, którzy po za własnym narodem nic dobrego nie uznawali w świecie. Szowinizm odpowiada więc zupełnie pojęciu, jakie w sprawach wiary nazywa się *fanatyzmem*. Kto zatem mówi i myśli: Nie ma na całym świecie narodu, tak doskonałego, jak mój; mój naród przeto *panować powinien nad innymi i wszystkie inne powinny mu służyć; trzeba gardzić wszystkiem co przechodzi od innych narodów, zwalczać je i tępić*“ — ten jest według pojęć dzisiejszych *szowinistą*.

Słusznie tedy nazywamy *hakatystów* niemieckich także szowinistami, bo oni tak myślą, tak mówią i stosownie do tego postępują.

Pisma ugodowe odkryły teraz, że i w społeczeństwie polskiem mamy *szowinistów* i głośne z powodu tego podnoszą skargi. Czy słusznie? — *Bynajmniej!!*

Szowinizm, pojmowany tak, jak powyżej określiliśmy, jest rzeczywiście rzeczą zdrożną i potępienia godną tak samo, jak zarozumiałość i pycha jednostek. Pan Bóg bowiem stworzył nietylko wszystkich ludzi, ale także wszystkie narody z tej samej gliny i żadnemu nie powiedział: będziesz panował nad innemi! Wszystkie więc otrzymały równe prawa i równe zdolności. Co z zdolnościami temi zrobiły, to już ich rzeczą. Jedne rozwinęły je wspaniale, inne zmarnowały. Każdy atoli naród ma prawo do bytu, do wolności, żaden nie jest skazany z góry na to, aby wysługiwał się innym. A jeżeli wskutek własnego niedołęztwa i niedbalstwa popadł w niewolę u innego, to ta niewola, ta niższość jego kończy się, a przynajmniej powinna skończyć się z chwilą, w której pozbywszy się wad swoich dorównał innym zarówno pod względem zalet ogólno-ludzkich jak i narodowo-kulturalnych. Nie należy tedy na korzyść własnego narodu gardzić żadnym innym, ani żadnymi płodami i zdobyczami jego pracy i ducha, mianowicie zaś nie należy gardzić narodami, które chociaż chwilowo popadły w niedolę, zadanie, jakie im Bóg wyznaczył, spełniły i spełniają. Kto zaś tak gardzi innymi, ten grzeszy godną potępienia pychą i zarozumiałością, grzeszy *szowinizmem*.

Zastanówmy się teraz nad tem, czy naród polski kiedykolwiek grzeszył taką zarozumiałością i pychą, czy dziś mamy w narodzie naszym żywioły, hołdujące takiemu „szowinizmowi?“

Na to odpowiedzieć musi każdy, kto zna dzieje nasze, że usposobienia takiego i prądu w społeczeństwie polskiem *nigdy nie było, a także dziś niema!*

Naród polski zawsze nawet *zanadto* szanował prawa i właściwości innych narodów; *zanadto*, bo ze szkodą własnych praw i własnych właściwości. Nigdy nie zabierał tego, co należało do innych, nigdy innymi nie pogardzał. Przeciwnie, chociaż sam dużo zdziałał, chociaż zdobył sobie wysoki stopień kultury, chociaż bynajmniej nie zakopał talentu, jaki otrzymał od Boga, lgnął formalnie do wszystkiego co obce i do niedawna jeszcze wszystko co obce, nawet języki cudze, wyżej cenił niż własne. Stało się to poniekąd nawet jedną z przyczyn upadku jego. Jeźli bowiem wielkiem złem jest szowinizm, pogardzanie obcem, to jeszcze *większem złem jest pomiatanie tem, co własne*.

I dziś zresztą jeszcze tysiące, nawet setki tysięcy Polaków odznaczają się takiem pomiataniem wszystkiego co własne, mianowicie w dziedzinie sztuki, literatury, handlu, przemysłu, a nawet w niektórych sprawach politycznych. Na szczęście zrodził się już i prąd przeciwny. Czyż może ten prąd jest *szowinizmem?*

Bynajmniej! Jest to tylko zwal-

czanie tego dawnego a poniekąd i dzisiejszego jeszcze hołdowania wszystkiemu co obce. Każdy bowiem taki polski *„reakcyonista narodowy“ ani myśli pomiatać prawami i zasługami obcych narodów, dąży jedynie do tego, abyśmy w każdej dziedzinie obcym dorównywali, abyśmy nie byli skazani na ich łaskę ani też nie byli zmuszeni wysługiwać się obcym.*

Zachodzą zresztą zarówno w życiu jednostek jak i w życiu narodów chwile i okoliczności, w których nawet to, co w innych razach jest złem, uważać trzeba za dobre i konieczne. Rąbać kogoś pałaszem lub nożem — to występek; a jednak dozwolony on we *własnej obronie.* Jeźli ktoś niesłusznie godzi na nasze życie, my zaś nie mamy innego sposobu ocalenia, to wolno nam cięcie odpłacić cięciem, strzał strzałem ubezwładnić, a nawet zabić przeciwnika. Na to zezwala nawet prawo *pruskie.*

Tak samo ma się rzecz z *szowinizmem.* O ile jest rzeczą zdrożną i brzydką u narodów, *którym nic nie grozi,* które cieszą się zupełną swobodą, o tyle stać się może rzeczą konieczną, conajmniej zaś *dozwoloną* u narodów, zagrożonych w swym bycie właśnie przez obcy szowinizm. W takiem zaś położeniu znajduje się dziś naród *polski.*

Bije w niego zarówno szowinizm *niemiecki* jak i *rosyjski,* a bije z wielką siłą i brutalną wprost bezwzględnością, my zaś, Polacy, na odparcie wściekłych ataków jego nie mamy takich sposobów i środków, jakiemi posługiwać się mogą ku własnej obronie ludy wolne. Więc nawet w razie, gdyby naród polski rzeczywiście odpowiedział na szowinizm obcy *szowinizmem* polskim — nie możnaby go za to potępiać, ani mu takiego sposobu samoobrony brać za złe. Gdzie chodzi o *życie* — tam wolno się bronić *wszystkiem,* co się do obrony nadaje.

Tymczasem o jakimś *polskim szowinizmie* ani mowy być nie może, bo faktycznie nie istnieje. *My nie pogardzamy Niemcami lub Rosyanami, ani też płodami i zdobyczami ich pracy i ducha.* My *szanujemy* zarówno ich własność terytoryalną jak i duchową, nam wcale ani przez myśl nie przejdzie *zabierać, przywłaszczać* sobie, co do nich należy, przedewszystkiem zaś nie dążymy do tego, aby *panować* nad nimi. My tylko bronimy tego co *nasze,* bronimy się przed tem, aby oni nas nie pochłonęli lub nie zamienili w niewolników swoich.

Jeżeli wołamy: kupujcie u swoich, używajcie wszędzie tylko własnego języka, niepłaszczcie się przed obcymi, nie łączcie się z nimi ku narodowej ujmie pod żadnym względem i pozorem, bądźcie zawsze *Polakami,* to nie jest jeszcze szowinizmem, jestto zupełnie godziwą i słuszną *samoobroną.*

Niemcom i Rosyanom nic to nieszkodzi, absolutnie nic, nam zaś potrzebne jest do życia. Bo gdybyśmy tak nie czynili, natenczas dwa te narody wkrótce zupełnie by nas zgnębiły i pochłonęły. Jest to tylko środkiem obronnym przeciwko ich szowinizmowi, *niczem* więcej. My musimy tak postępować, tak działać, inaczej przepadlibyśmy z kretesem.

Kto wtedy u nas mówi o *polskim szowinizmie,* ten albo niepojmuje położenia naszego ani właściwej istoty naszej samoobrony, albo też grzeszy złą wolą, *rozmyślnie pragnie osłabić naszą siłę samoobronną.* W każdym razie rzuca *potwarz* na zupełnie godziwy, zupełnie słuszny a wręcz konieczny *odruch* narodowy przeciwko obcej przemocy, obcej zuchwałości. Polak, który w tym godziwym odruchu widzi zły i zdrożny *szowinizm,* który odruch ten stawia na równi z szowinizmem *niemieckim,* godzącym w innych *bez potrzeby*— nie jest dobrym Polakiem i pracuje jedynie na rzecz *obcego szowinizmu.* Precz więc z tym frazesem z pism naszych, gdy chodzi o nasze sprawy, o *polskie poczucie narodowe, o samoobronę naszą!*

Verus.

Odpowiedź na mowę malborską.

Z Galicyi piszą nam:

„Nadzieja nasza — niemal pewność, że sejm galicyjski, który zebrał się już w sobotę, da wyraz uczuciom naszym z powodu mowy malborskiej, że godnie powetuje to, co zaniedbało Koło polskie *w* Wiedniu — *zawiodła!* Wiedeń poruszył wszelkie sprężyny, ażeby zaniechano „demonstracyi“ — a usłużne duchy w kraju w lot spełniły to życzenie. Nie macie pojęcia, co się działo za kulisami, jakich chwytano się środków i sposobów, przyjdzie czas, że i ta krecia robota na jaw wyjdzie, dość, że zamknięto nawet usta tym posłom, których wybrano pod hasłami narodowo-demokratycznemi. Jeden tylko poseł nie pozwolił sobie ust zamknąć, a jest nim poseł ludowy, a raczej ludowców, *Stapiński* Wniósł interpelacyą w sprawie mowy malborskiej i to bardzo stanowczą. Pierwszej jej części powtórzyć nie możecie druga brzmiała:

„Sejm galicyjski wzywa cesarsko-królewski rząd, aby w sposób nie dwuznaczny określił swoje stanowisko wobec mowy malborskiej.“

Wniosek ten złożony został do laski marszałkowskiej już w sobotę — i wywołał prawdziwy popłoch wśród „Stańczyków“ oraz innych ugodowców naszych. Zaraz zwołano posiedzenie sejmowego Koła polskiego i przez kilka godzin radzono nad tym wnioskiem — a radzono „poufnie.“ Ostatecznie przyjęto „znaczną większością głosów uchwałę, że Koło sejmowe uważa aluzyą do mowy malborskiej, jaką wplótł do swego przemówienia na pierwszem posiedzeniu sejmu marszałek krajowy hr. Potocki, za dostateczne zaznaczenie uczuć narodowych sejmu, i że z tego powodu *przeszkodzi każdemu zamiarowi wytoczenia tej sprawy z innej strony.* I uchwałę tę wykonano sumiennie. Wniosku Stapińskiego, popartego ledwie przez trzech czy czterech posłów, nie dopuszczono nawet do dyskusyi. Sejm przeszedł nad nim do porządku obrad....

Wiedeń odetchnął, a całe nasze społeczeństwo polskie w *Galicyi,* z wyjątkiem naturalnie ugodowców — syknęło z bólu i żalu. Tegośmy się nie spodziewali. Jakie wrażenie wywołał ten nowy akt uległości polskiej dla Wiednia wśród publiczności na galeryach, to wiecie już z pism codziennych. *Zerwała się taka burza, że marszałek zniewolony był zagrozić opróżnieniem galeryi.*

W kraju zawrzało na dobre. Taką więc mamy reprezentacyą! Piszący te słowa nie sympatyzuje bynajmniej z posłem Stapińskim ani z radykalnemi jego dążnościami. W tym jednakże wypadku

uchyla przed nim czoło, przed tą jego odwagą cywilną i przed jego patryotyzmem. Dziwicie się tam może w Księstwie, że tu radykalizm i socyalizm takie czyni postępy. Czyż atoli dziwić się temu można wobec takiego postępowania sfer, które mają władzę w swem ręku? Sfery te same pchają szerokie masy w objęcia radykalizmu. Socyalistów z przekonania jest u nas bardzo mało, ale dużo jest takich, *którzy nie widząc innej możności do naprawy stosunków, pragną złe złamać złem*, i popierają najskrajniejszy kierunek, gdy wszelki umiarkowany *zawodzi*.

Mamy się zadowolić deklaracyą, a raczej ową aluzyą marszałka krajowego! A jakże ona brzmiała? Otóż powiedział on tylko, że żywotnego narodu nie złamie żadne prześladowanie, narodowe lub ekonomiczne. Co, gdzie, jak i z jakiej przyczyny — o tem zamilczał dyskretnie.

Nie! komunałami takiemi społeczeństwo tutejsze już się nie zadowoli. Ci, dla których solą w oku była już deklaracya księcia *Czartoryskiego* z powodu sprawy wrzesińskiej i którzy teraz zawczasu pospieszyli zamknąć usta sejmowi, *nie zdołają zamknąć ust ogółowi*. Gdy sejm zawiódł pokładane w nim zaufanie — ogół sam przemówi. A jak przemówi, to już postanowiono.

Zbliża się *15 lipiec* — rocznica *bitwy pod Grunwaldem*. Obchodzono tę rocznicę w całej Polsce bardzo uroczyście przez kilka wieków, aż do ostatniego rozbioru. Potem to ustało. Naród w dziwnem zaślepieniu widział większego wroga w Rosyi niż w Prusach, przeciwko Rosyi więc wytężył wszelkie swe siły i myśli. Ostatnie lata, ostatnie tygodnie zmieniły ten nasz pogląd. Czas więc wznowić obchody potrzeby grunwaldzkiej.

Radzą już o tem zarówno we *Lwowie* jak i w *Krakowie*. *W całym kraju odbędą się więc w pamiętnym tym dniu wielkie uroczystości;* największe naturalnie w Krakowie, gdzie spoczywają prochy tego monarchy, który potęgę krzyżacką rozniósł na polu grunwaldzkiem.

Mamy nadzieję, że zamiar ten znajdzie oddźwięk w całej Polsce. Wy tam nie możecie naturalnie obchodzić tej pamiętnej chwili, tak jak my, w głębi serca jednakże krzepić się będziecie wraz z nami wspomnieniem tego wiekopomnego zwycięztwa, a zarazem przeświadczeniem, że *Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy*, że co było, to się wrócić może, gdy Bóg zechce, chociażby wszelkie potęgi świata sprzysięgły się przeciwko temu!!

Niech więc na wspomnienie świetności Malborga odpowie Niemcom *odświeżenie pamięci pogromu Grunwaldzkiego!*

Wierny.

Wychodźcy polscy—a wybory na obczyźnie.

Przewodniczący polskiego komitetu wyborczego dla Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi, pan *Wojczyński* w Gelsenkirchen, ogłasza co następuje:

„Wszystkich członków głównego komitetu wyborczego dla Westfalii, prowincyi nadreńskiej i sąsiednich prowincyi upraszam, aby zaraz nadesłać zechcieli swój dokładny adres na ręce sekretarza tegoż komitetu pod adresem: Pan Jan Bieliński, Bochum, Maltheserstr. 17, gdyż w najbliższym czasie odbyć się ma zebranie komitetu, a potem zaraz odbędą się we wszystkich powiatach walne zebrania powiatowe, czyli wiece przedwyborcze, w celu oboru komitetów powiatowych i przeprowadzenia organizacyi wyborczej, albowiem w roku przyszłym odbędą się powszechne wybory do parlamentu.

„Wchodzą tu głównie w rachubę następujące okręgi wyborcze: Essen, Bochum - Gelsenkirchen - Hattingen, Dortmund - Hoerde, Mülheim - Duisburg-Ruhrort-Oberhausen i Recklinghausen. Prócz tego jest kilka powiatów, gdzie mniejsza liczba Polaków zamieszkuje. Wszędzie zostanie wcześnie organizacya wyborcza przeprowadzona, aby, gdy wybory się zbliżą, wszystko do pracy agitacyjnej było przygotowane."

Z odezwy tej wynika, że wychodźcy nasi w tych stronach zamierzają i w roku przyszłym, przy ogólnych wyborach do parlamentu wystąpić samodzielnie i czynnie, podobnie, jak to uczynili w roku zeszłym w okręgu duisburskim-mühlheimskim.

Wiadomo, jaką burzę w prasie niemieckiej, oraz jak ożywioną dyskusyą w prasie polskiej wywołał ten zeszłoroczny ich występ. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i teraz tak będzie, że po stronie niemieckiej posypią się znów głosy, wykazujące na tej podstawie „straszne niebezpieczeństwo", grożące rzekomo niemczyźnie ze strony tej wdzierającej się w głąb Niemiec polskości, a tak samo po stronie polskiej głosy mentorskie, odradzające braciom na obczyźnie tak niebezpiecznego „porywu."

Co do „Pracy", to zabierając już dziś głos w tej sprawie, bynajmniej nie zamierza narzucić się wychodźcom naszym na mentora. Dali oni przecież takie dowody dojrzałości politycznej i rozumnej gorliwości w obronie swych właściwości narodowych, że śmiało pozostawić im możemy decyzyą także w tym wypadku.

Ponieważ atoli sprawa ta ważna nie tylko dla nich, ale i dla całego ogółu polskiego, przeto obowiązkiem naszym jest zająć jasne i wyraźne co do niej stanowisko.

A stanowisko to takie: Pochwalamy ich zamiar i uważamy go *za dobry*.

Co prawda, nie zamykamy bynajmniej oczu także na *niebezpieczeństwo*, jakie *wyniknąćby mogło* dla tamtejszych rodaków naszych z takiego samodzielnego udziału w wyborach. Los ich byłby bardzo smutny, gdyby ot z tego powodu stracić mieli w większej liczbie lub *wogóle* pracę i zarobek w tych stronach. Dziś bowiem jeszcze społeczeństwo nasze w kraju nie może im dać takiego zarobku, ani odpowiedniej pracy, do jakiej przywykli tam na obczyźnie. Wszelako jesteśmy przekonani, że na razie niebezpieczeństwo takie im nie grozi. Gdzie chodzi o zapotrzebowanie tak licznych sił roboczych w przemyśle, gdzie posiadanie tych sił jest po prostu *kwestyą żywotną* dla przemysłu, tam względy narodowościowo-polityczne nie decydują. Wiemy zaś aż nadto dobrze, że tamtejsi przemysłowcy niemieccy, jedynie ze względu, *konieczności* zatrudniają jeszcze Polaków, nie czasem z łaski lub z życzliwości dla nich. Jeźli tedy nie pozbyli ich się w ostatnich latach podczas ogólnej depresyi w handlu i przemyśle niemieckim, to tem mniej obawiać się możemy, że uczynią to teraz, gdy po zakończeniu wojny transwalskiej stosunki na targach wszechświatowych polepszą się znacznie; zapewne także dla przemysłu niemieckiego.

Sądzimy przytem, że wychodźcy nasi sami najlepiej wiedzieć muszą, co im ewentualnie grozić może, jakie jest ich położenie pod względem pracy i zarobku. Skoro tedy sami się nie obawiają takiego następstwa samodzielnego wystąpienia przy wyborach, to z jakiej racyi my byśmy tego obawiać się mieli?

To zaś, naszem zdaniem byłby jedyny *wzgląd*, mogący decydować o ich zachowaniu się podczas wyborów. Inne względy nie istnieją.

Że się hakata znów o to wściekać będzie, że i Cenrum znów się o to na nas pogniewa, to nas ani ziębić, ani parzyć nie powinno. Hakata wścieka się na nas o wszystko, wścieka się o to, że żyjemy i nie mamy ochoty marnie zginąć, wścieka się na wszystko, co dla nas dobre i korzystne. O centrowcach zaś wiemy aż nadto dobrze, co to za „przyjaciele" nasi. Pokazały to nam znowu „wymownie" obrady nad ćwierć milionowym projektem antipolskim. Centrum wtedy tylko nam „pomaga", gdy nas potrzebuje. Ale być może nawet, że samodzielne wystąpienie wychodźców naszych przy wyborach dobry nawet odniesie skutek w stosunku naszym do tego stronnictwa. Niech się tylko zda-

rzy, że w którym okręgu los kandydatury centrowej zawiśnie od głosów polskich, to Centrum wtedy zaraz okaże się skłonniejszem do „ustępstw" — a chociażby tylko do poparcia słusznych żądań rodaków naszych tamtejszych w dziedzinie kościelnej. A o to głównie chodzi.

Obawa „strachajłów" naszych w kraju, jakoby takie wystąpienie wychodźców naszych przy wyborach ściągało na nas nowe prześladowania, jest po prostu *śmieszną*. Teraz zwłaszcza, po mowie malborskiej, wiemy dobrze, że wypowiedziano nam walkę na śmierć lub życie i że rząd od walki tej nie odstąpi — chociażbyśmy Bóg wie jaką okazywali „lojalność" — dopóki nie wyrzekniemy się *polskości i polskich ideałów*. O pogorszeniu się położenia naszego wskutek czynnej akcyi wyborczej w Westfalii ani mowy więc być nie może.

Akcya taka może zaś przynieść nam znaczne *korzyści*. Przyczyni się bowiem do rozbudzenia i utrwalenia ducha narodowego wśród wychodźców, dużo z nich odciągnie od socyalizmu a z konieczności oddziałać musi na *Śląsk*. Jeźli bowiem zależni *zupełnie* od Niemców pod względem ekonomicznym rodacy nasi na obczyźnie mają odwagę stawić czoło niemczyźnie także przy wyborach i rozwinąć sztandar narodowy, to dziwnem by było, gdyby polski lud na Śląsku, który w ogromnej części, żyjąc z własnego kawałka ziemi, wcale nie jest od Niemców zależny, odwagi takiej nie okazał. Jakże jaskrawo przytem odbija od tej pewności siebie *robotników* polskich na Zachodzie trwożliwa postawa *przywódców* polskich na Śląsku, którzy twierdzą, że od samodzielnego wystąpienia przy wyborach wstrzymuje ich wzgląd na *materyalną zależność* ludu śląskiego. Zawstydzają was, panowie, ci polscy robotnicy w Niemczech!

Z wszystkich tych przyczyn godzimy się na samodzielną akcyą wyborczą braci naszych na zachodzie i życzymy im jedynie najlepszego powodzenia w tej akcyi. *Narodowiec.*

Jeszcze trzy ofiary.

Na domiar chwały, którą Prusacy zdobyli sobie sprawą wrzesińską wraz z gnieźnieńskiemi wyrokami, dokonano w zeszły poniedziałek (dnia 23 b. m.) w Gnieźnie sądu nad trzema jeszcze ofiarami: młodym jeszcze chłopcem Wiśniewskim, obywatelką Kantorczykową i czeladnikiem Kaliszewskim.

Pierwszego z tych trzech obżałowanych skazano „za wielką swawolę" (wegen groben Umfugs) na *trzy tygodnie aresztu*; czeladnika stolarskiego, Leona Kaliszewskiego, za udział w zaburzeniu i zakłóceniu spokoju krajowego na *rok i trzy miesiące więzienia;* żonę szewca Elżbietę Kantorczykową za udział w zbiegowisku i zakłóceniu spokoju i obrazę na *dziesięć miesięcy więzienia.*

Jak wiadomo, Kantorczykowa w listopadzie r. z. sądzoną być nie mogła, gdyż po dwudniowej rozprawie musiano ją wypuścić z więzienia i sprawę jej odroczyć z powodu słabości. Całą jej winą, że miała powiedzieć: „Ukropem obleję tego człowieka" (policyanta, który ją wezwał do opuszczenia ulicy.)

Po procesie listopadowym wyszukano jeszcze jednego winowajcę w osobie czeladnika Kaliszewskiego, który widząc nauczyciela Kowalewskiego idącego do domu w towarzystwie żandarmów, miał wołać: „Bijcie tego złodzieja."

Trzecia ofiara to Aleksander Wiśniewski, uczeń szewcki, którego zasądzono już w listopadzie za udział w rzekomych zaburzeniach ulicznych na miesiąc więzienia. Na skutek wniosku o rewizyą wyroku sąd rzeszy zniósł zawyrokowaną karę, uznawszy ją za wysoką, ponieważ Wiśniewski nie miał jeszcze 16 lat.

Oto owi przestępcy. Kantorczykową i Wiśniewskiego bronił adwokat Türk, Kaliszewskiego adwokat Markuse, obaj z Gniezna.

Głównym świadkiem był znowu inspektor szkolny Winter, którego ostatnie zeznania nie różniły się prawie niczem od zeznań w procesie listopadowym. Twierdził, że dzieci nie chciały się uczyć niemieckiej religii, ponieważ „podburzali je rodzice, a także ks. Laskowski."

Inni świadkowie również zeznawali to samo, co podczas procesu w listopadzie.

Nowymi świadkami byli pomocnik fryzyerski Złotowicz i syn oskarżonej Kantorczykowej, Stanisław. Zeznał on, że Kaliszewski, widząc nauczyciela Koralewskiego w towarzystwie żandarmów, wołał: „Bijcie tego złodzieja!" Natomiast Złotowicz nie przypomina sobie, czy z ust Kaliszewskiego słowa takie padły.

Sądowi wystarczyło świadectwo pierwszego z wymienionych świadków.

Po ogłoszeniu wyroku Kantorczykową, zanoszącą się od płaczu i Kaliszewskiego wtrącono do więzienia.

Takim epilogiem zakończył się dramat wrzesiński, który straszną treścią poruszył opinią świata, a dla nas stał się cząstką historyi. Bez pretensyi i bez świadomości, ażeby na dziejowej karcie naszej figurować, matki, ojcowie, dziewczęta i chłopcy wrzesińscy zapisali się w kronice bytu naszego pod berłem pruskiem, kronice bólu i łez pełnej.

Niechaj tym, którzy jęczeć będą we więzieniu, oprócz współczucia rodaków pociechą będzie i to przeświadczenie, że cierpieniami swemi przysporzyli narodowego ducha, którego nam do obrony naszych świętości potrzeba.

Prawdzic

Coraz lepiej!

Przed kilku tygodniami wyraziliśmy przewidywanie, że rozwięzywanie zebrań w różnych środowiskach ruchu polskiego jest zapowiedzią nowego ciosu, nowego zamachu na nasze życie publiczne. Przypuszczenie nasze okazało się trafnem. System przeciwko zgromadzeniom polskim już się nawet w stolicy Wielkopolski, tj. w Poznaniu samym, zaznaczył.

Na przyszłą niedzielę zapowiedzianym był wiec dla podniesienia protestu przeciwko nowemu 250 milionowemu funduszowi na zagładę naszą. Zgłoszenie wieca u władzy policyjnej dokonanem zostało prawidłowo. Tymczasem dnia 25 bm. otrzymał p. Otto Schmidt, administrator zakładu Lamberta, w którego sali wiec miał się odbyć, następujące pismo z dyrekcyi policyi:

„Poznań, 23 czerwca 1902.

Odbycie zebrania publicznego, zameldowanego przez kapitalistę p. Jackowskiego na niedzielę dnia 29 bm. na sali Lamberta, zostało na mocy § 10 części II tytułu 17 ogólnego prawa krajowego zabronionem.

Zabraniam więc panu oddania sali na zebranie, przyczem nadmieniam, że w razie niezastosowania się do tego zakazu niezwłocznie przeciw panu na mocy § 132 ustawy o administracyi krajowej naznaczę przewidzianą tam wyraźnie karę 150 marek, albo w razie niemożności zapłacenia jej, karę 2 tygodni więzienia.

podp. *v. Hellmann.*

Do
administratora zakładu
Lamberta,
p. Ottona Schmidta
w miejscu.
Ogrodowa ulica 12."

Zakaz powyższy opiera się na paragrafie przestarzałego i do naszych czasów zupełnie nie stósującego się „Landrechtu", pochodzącego jeszcze z 18 wieku! Paragraf zaś ten opiewa, że „policya ma prawo bronić spokoju publicznego i bezpieczeństwa publiczności". Natomiast o zakazie zebrania niema w

nim mowy z tej prostej racyi, że w czasie układania „Landrechtu“ ani nie było konstytucyi, ani też o urządzaniu zebrań publicznych nikt nie myślał.

Podobne stosowanie prawa staje się osobliwszym dla niektórych władz pruskich sportem. Ale sam fakt, że i w Poznaniu zabiera się policya do paraliżowania zebrań polskich dowodzi, że w najwyższych sferach rządowych usiłują wszelkiemi siłami życie nasze publiczne zdławić. Upodrzędnione Berlinowi władze policyjne w dzielnicach polskich nie odważyłyby się na taką samowolę, przeciwną konstytucyjnej swobodzie, gdyby nie było wskazówek i dyrektyw z góry.

Może to właśnie próba, czy trybunał berliński, gdy zażalenie nasze na zakaz taki pójdzie przez odpowiednie instancye, nie zawyrokuje w tej myśli, jaką wynużył hr. Bülow, a mianowicie, że zebrania w języku polskim w monarchii pruskiej odbywać się nie powinny.

Do mąk narodu, jak się zdaje, jedna jeszcze przybywa, a pewno jeszcze nie ostatnia. Ale niedorzeczną jest rachuba, że tego rodzaju środki podetną nas duchowo i moralnie.

Będziemy musieli i bez zebrań kochać Ojczyznę, służyć jej i z sobą się bratać. Zawsze jeszcze przecież pozostanie polski dom i polska strzecha.

Czujny.

Z TYGODNIA.

Cesarz *Wilhelm* po uroczystościach malborskich wyjechał na zachód i zwiedził prowincyą nadreńską. W *Bonn*, gdzie na uniwersytecie studyuje syn jego, następca tronu, wziął udział w jubileuszowym komersie związku studenckiego „Borussia.“ Ztamtąd udał się do *Akwizgranu*, niegdyś stolicy *Karola Wielkiego*. Po drodze wstępował do innych miast, a wszędzie wygłaszał mowy. Najważniejszą była mowa w Akwizgranie. Tam w odpowiedzi na powitalną oracyę burmistrza dał wyraz ulubionej swej myśli, że *Niemcom należy się światowładztwo*. Podobnie, jak wiadomo, wyraził się cesarz już przed rokiem, w starym rzymskim zamku niedaleko Homburga. Myśl ta cesarska nietylko zagranicą, ale nawet w pewnej części prasy niemieckiej nie znalazła poklasku. W jej spełnienie nawet w Niemczech, po za sferami hakatystycznemi, nie wierzą. Te zaś rychło już zapewne się przekonają, że niedobrze oddawać się takim złudzeniom. Zagranicą dążność Niemiec do władztwa nad światem po większy jedynie podejrzliwość względem cesarstwa niemieckiego, no i *niechęć do Niemców*. Cesarz uderzył wprawdzie w ton pokojowy.

Zdaniem jego, Niemcy winni zdobyć sobie to „imperyum“ jedynie siłą *ducha* swego. Ale świat uprzytomnia sobie, jakiemi drogami kroczył zawsze duch niemiecki; wiedzą o tem mianowicie Słowianie. Nawet takie oto *pokojowe* wynurzenia budzą poważne obawy, pobudzając do czujności i ubezpieczenia się.

Dla nas bardziej interesującą była druga cześć mowy cesarskiej. W tej części odwołał się cesarz do ...„*religijności i pobożności swego narodu*“, zapowiedział, że zawsze strzedz będzie wiary w swym kraju i dbać o to, aby Niemcy kroczyły naprzód zawsze pod *znakiem krzyża*.

I my walczymy pod znakiem krzyża, ale tego krzyża, który nie jest wyłącznie niemieckim, lecz godłem Boga, sprawiedliwego dla *wszystkich* porówno. Ten Bóg *jedyny a potężny*, rozstrzygnie też kiedyś, który krzyż lepszy, czy ten, który my dźwigamy w trudzie i znoju śladem Chrystusa i z ufnością w miłosierdzie jego, czy krzyż, *pod którym Niemcy sięgają po władzę nad całym światem*....

Jeden zaś zwrot w mowie zabolał nas bardzo. Cesarz przytoczył słowa, jakie wypowiedzieć miał *Leon XIII* do posła jego, składającego mu życzenia z okazyi ostatniego jubileuszu. Słowa te wypowiedział Ojciec św. podobno *poufnie*, nie spodziewał się więc może, że dojdą do wiadomości ogółu. Bądź, jak bądź, dziwnie brzmią dla ucha naszego.

Oto Ojciec św. powiedział, że jedynem dziś państwem, w którem panuje pobożność i dobry obyczaj, w którem także *katolicy* modlić się mogą swobodnie i wykonywać swe praktyki religijne to *Niemcy*. Rzeczywiście wierzyć się nie chce, iżby podobne słowa wyjść mogły z ust Leona XIII, a jednak musi to być prawdą, skoro przytoczył je cesarz. Czyżby Leon XIII nie wiedział, co się dzieje z nami, chyba także dobrymi katolikami, w tem państwie, że dzieciom naszym wpaja się prawdy wiary *w obcym niezrozumiałym* języku? A jakże pogodzić z tem uznaniem dla Prus fakt, że Ojcom Jezuitom zawsze jeszcze wzbroniony wstęp w granice państwa? Głowa Kościoła katolickiego musi mieć na oku dobro *całego* świata katolickiego — nie wolno więc krytykować słów Papieża, gdy nieznamy *przyczyny ich i celu*, ale mimo to wzbudziły boleść w sercu naszem....

Ale mimo to słowa Ojca św. wytłomaczyć sobie można. Widok tego, co się dzieje w krajach na wskroś *katolickich*, we *Francyi* i we *Włoszech*, jak tam prześladuje się Kościół, gnębi wiarę i duchowieństwo, musi napełniać goryczą serce Namiestnika Chrystusowego. *Francya* powierza rządy kraju wiarołomcy-kapłanowi i masonom, we Włoszech panują oni już od dawna. Świeżo zaś w tym katolickim kraju mianowano ministrem wojny nawet *żyda i najzaciętszego* wroga Kościoła katolickiego. Żydem bowiem jest nowy minister wojny we Włoszech, generał *Ottolhengi*. Pominąwszy już kwestyą wyznaniową, to zaprawdę ciekawe to widowisko: żyd na czele armii wielkiego państwa! Armia włoska i tak nie wiele warta, zmarnieje chyba do reszty, pod takim kierownikiem.

Senat *francuzki* obradował nad ustawą dla państwa tego bardzo ważną, bo nad projektem *skrócenia służby wojskowej z trzech na dwa lata*. Projekt ten napotyka na zaciętą opozycyą zwłaszcza w kołach wojskowych. I słusznie! Na takie skrócenie służby czynnej mogą pozwolić sobie w dzisiejszych czasach zbrojnego pokoju, jedynie państwa, które mają tyle młodych ludzi, że ubytek jednego rocznika mogą pokryć liczniejszym poborem dwóch poprzednich. Tak ma się rzecz w Niemczech. Francya atoli, której ludność prawie wcale się nie mnoży, niema nawet dosyć rekruta do wypełnieniaia kadr armii przy trzyletniej służbie. Jeźli tedy rząd przeprowadzi swój zamiar, musi sięgnąć do niedorostków lub ludzi, właściwie niezdatnych do służby wojskowej, a to obniży wartość taktyczną armii. Nie bez powodu zarzucają więc może generałowie francuzcy obecnemu masońskiemu ministrowi wojny, generałowi Andrée, że jakoby *rozmyślnie* podkopuje wojskową siłę Francyi. Czyż i to nareszcie nie otworzy oczu narodowi francuzkiemu?

Uroczystości koronacyjne w *Anglii*, których punktem kulminacyjnym będzie dzień 27 czerwca, zakłócone zostały nagłem zasłabnięciem głównego aktora, króla *Edwarda*. Obiegała najprzód pogłoska, jakoby anarchiści wykonali zamach na jego osobę, lecz okazała się bezpodstawną. Choroba króla jest zupełnie „naturalną“, wynikiem hulaszczego życia, jakie wiódł jako następca tronu, a podobno bardzo niepokojącą. Gwałtem jeszcze trzyma się na nogach, aby tak ważnej uroczystości nie potrzebowano odkładać na później, lecz cóż będzie, jeźli siły mu nie dopiszą?*) Ludzie jakoś nigdy nie mogą być pewni, czy radość ich nie zakłóci jaki smutek. Cieszyli się Anglicy z zawarciu pokoju

---

*) Stan zdrowia się pogorszył — uroczystości odłożono. — Przyp. Redakcyi.

z Burami, a tu niespodziewanie nowy spadł na nich kłopot.

W *Austryi* zwołano wszystkie sejmy krajowe. Sejm *galicyjski* obradować będzie do połowy lipca. Zaraz na wstępie zawiódł nadzieję kraju, wyrzekając się wszelkiej odpowiedzi na mowę malborską (o czem piszemy na innem miejscu). Czy w innych sprawach będzie „szczęśliwszym“, któż to może przewidzieć? Budżet galicyjski przedstawi się o tyle korzystniej w tym roku, że obrachunków zeszłorocznych nie zamknięto niedoborem, jakiego się obawiano — lecz znaczną nawet nadwyżką. Wydział krajowy zaraz też przedłożył sejmowi ważny projekt, projekt podwyższenia *płacy nauczycielom ludowym*, które tam są więcej niż nędzne. Ale podwyższenie to bardzo, bardzo marne, na głowę przypada ledwie 80 koron czyli 70 mrk. rocznie. Więcej zaś uczynić nie można dla tych biedaków, bo tyle innych spraw wymaga zasiłku. *Wiedeń* zaś dla *Galicyi* nie ma pieniędzy, chociaż wysługuje im się tak, że dla Austryi zaprzepaszcza własne i narodowe interesy.

Książę Ferdynand *Bułgarski* ma otrzymać rzeczywiście koronę *królewską*. Rosya okazała się hojną dla swego zausznika!

W *Wenezueli*, w Ameryce południowej, znów rewolucya, w *Chinach* wieczne niepokoje. Chińczycy jakoś jeszcze krzywiej patrzą dziś na obcych niż przed ową wielką wyprawą mocarst europejskich do ich kraju. Nadzieja cesarza Wilhelma, że hrabia Waldersee takiego da im łupnia, iż za tysiąc lat jeszcze nie będą śmieli krzywo spojrzeć na Niemców, nie spełniła się jakoś. Właśnie Niemców nienawidzą tam najbardziej i z tem wcale się nie tają, czemu *my* się nie dziwimy.

Sejm *pruski* poszedł wreszcie za przykładem parlamentu i zamknął swe podwoje. Dobrego nie wiele zdziałał w ubiegłej sesyi, za to złego aż nadto. Te 250 milionów, jakie z lekkiem sercem uchwalił na naszą zgubę, zaciążą kiedyś jeszcze bardzo zarówno na pruskim worku jak i na pruskiem sumieniu. Ale to rzecz przyszłości. My na to czekać nie możemy, lecz musimy się *bronić zawczasu*.

W Sybillenort, w myśliwskim pałacyku pod Dreznem, umarł dnia 19-go b. m. wieczorem po długiej chorobie potomek dwóch przedostatnich królów polskich, wnuk księcia warszawskiego, *Albert II. król Saksonii*.

Rządy królestwa saskiego objął brat nieboszczyka, 70-letni *książę Jerzy*.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Prasa polska nie może się zaprawdę skarżyć na brak materyału do zapełnienia łamów, no i na brak tematów do artykułów i rozmyślań. Sypią się przecie, jak z rogu obfitości *projekty i coraz to nowe pomysły antipolskie, mowy cesarskie, najrozmaitsze rozporządzenia władz, godzące w nasz byt, a więcej jeszcze w nasz spokój, nie mówiąc już nic o owej powodzi głosów antypolskich*, jaka rozlewa się, szumi i huczy od Bałtyku do Alp, od Wisły do Renu. Zaprawdę rąk, no i papieru braknie, aby to wszystko przytoczyć, opatrzeć w krytyczne uwagi, i zwalczać fałsze, jakie pływają po wierzchu tej antipolskiej powodzi. A tu i wewnątrz społeczeństwa naszego kwestyi spornych nie braknie, ani zadań naglących do omówienia i załatwienia.

Wogóle dziś materyału dla kronikarza prasowego „Pracy“ tyle, że o porządkowaniu go ani myśleć nie może. Wyrwie więc z ogólnego bogactwa co najważniejsze i najgodniejsze przytoczenia.

Dowiedzieliśmy się oto, że podobno władze wojskowe wpływają na *żołnierzy polskich, aby niemczyli swe nazwiska*. Na te niepraktykowane nigdzie zresztą na całym świecie zakusy odpowiada trafnie „**Wielkopolanin**“. Oto co pisze:

„Każdy, co namawia do zmiany nazwiska, wkracza w najistotniejsze prawa rodziny i człowieka jako takiego. Jakżeż to! Jeden człowiek rodziny ma się przynajmniej zewnętrznie odłączyć od reszty rodziny? Bo czyż się nie odłącza tem od reszty rodziny, gdy zmienia nazwisko ojców.

„Pradziad, dziad i ojciec nazywali się n. p. Wójciński — i syn przez przeciąg lat dwudziestu nazywał się tak samo, naraz ma się nazywać n. p. „Kulecke“. Rodzina Wójcińskich traci zatem jednego członka rodziny, bo żaden Wójciński nie powie, że Kulecke jest to samo nazwisko, co Wójciński. Zewnętrznie więc przecina ów przyszły Kulecke węzły z swą rodziną.

„Zmiana nazwiska wkracza zatem w istotne *prawa rodziny*, ale zmiana taka, albo raczej przymus, lub namowa do niej wkraczają w istotne *prawa człowieka* jako takiego.

„Każdy człowiek urodzony z legalnego przez Kościół i państwo uznanego małżeństwa ma nietylko prawo, ale nawet obowiązek, noszenia nazwiska ojca. Jest to więc jego najistotniejsze prawo wynikające z jego stosunku potomka do rodziciela.

„Nagle go zaczynają podmawiać, że ma się wyzbyć prawa, które nabył równocześnie z przyjściem na świat z pierwszem tchnieniem. On uważał od chwili, kiedy zrozumiał, dlaczego n. p. nazywa się Wójciński a nie Kulecke, że noszenie tego nazwiska jest nie tylko prawem, lecz także obowiązkiem, a tu naraz namawiają go, aby nie dopełnił na resztę życia tego obowiązku.

„Jakiż to przykład szczególnie dla żołnierza!

„Jednym z przedniejszych celów służby wojskowej jest wpajanie obowiązkości, a tu działają przeciwnie, namawiając do uchybienia obowiązkom.

„Tego rodzaju próby i eksperymenty działają tylko rozprzęgająco.“

A no, mniejsza o służbę wojskową; dbajmy tylko o to, aby renegatów takich było jaknajmniej wśród żołnierzy polskich.

Dzielnie też napiętnowała prasa nasza, jak się należało, wywody pana *Wittinga* w pruskiej *Izbie Panów*.

Posłuchajmy co — o twierdzeniu jego, jakoby nas wspierały miliony zagraniczne, pisze „**Goniec Wielkopolski**“:

„Pan Witting rzucił dalej pytanie, skąd pochodzą pieniądze u Polaków na wszystko? Powiedział, że na to pytanie trudno odpowiedzieć. Nie chciał przesądzać o tem, czy polskie kasy, spółki, banki nie mają pieniędzy zagranicznych!

„Zaiste dziwne to podejrzenia. Zkąd się biorą pieniądze? Toż Polacy ich nie kradną — a podejrzewać, jakoby nasze instytucye miały fundusze zagraniczne, to na to chyba tylko ramionami wzdrygnąć można. Nasze instytucye finansowe postępują aż nazbyt jawnie. Gdyby p. Witting zechciał wczytać się w sprawozdania i bilanse naszych Spółek i banków, snadno mógłby dociec, skąd powstają polskie miliony. Cała tajemnica polega w tem, że całe społeczeństwo nasze nauczyło się przedewszystkiem umiejętnie pracować, więcej zarabiać a mniej wydawać. O tem przekonywują depozyta w bankach ludowych, wynoszące miliony zapracowane krwawicą polską w pocie czoła. Czasy te, gdzie Polacy — nawet przeciętna szlachta — lekceważyli sobie grosz i z lekkiem pozbywali go się sercem, minęły u nas. Dziś każdy liczy i pracuje, bo wie, iż gdyby tak nie postępował, musiałby ginąć. Na urzędy Polacy się nie dostaną, o tem wiemy, więc się do nich też nie pniemy, a imamy się zawodów przemysłowych, które wymagają wprawdzie ciągłej czujności i wytężenia, nie są wygodnymi, jak urzęda, lecz doskonalą ludzi, wyrabiając z nich małe potęgi, które się wybijają na wierzch, dorabiają i oczywiście nie pójdą lokować swej krwawicy do banków niemieckich, mając swoje wzorowo prosperujące instytucye.

„Zresztą czyż to fundusze kolonizacyjne nie mało napędziły grosza do kraju? Znaczna ich część obraca się w rękach polskich, podobnie jak i do rąk żydowskich przeszła. Nie było więc potrzeba zagranicznych pieniędzy do zasilania polskich kas i banków, bo produktywna praca polska dość ich wyłoniła.“

Czy pan Witting zechce to zrozumieć?

Wiadomo, że także dwóch żydowskich posłów do *Sejmu*, do Izby poselskiej, *Wolff z Leszna* i *Peltasohn z Mogilna* głosowali za nowym projektem antipolskim. Z powodu tego znów pewne pismo poznańskie zaapelowało do ludu polskiego, aby przecież nie zanosił dalej pieniędzy swych do współwyznawców tych panów. To nasunęło „**Dziennikowi Kujawskiemu**“ następujące gorzkie, lecz trafne uwagi:

„Wskazywanie na takie fakta chybia jednakowoż u nas zupełnie celu. Na lud polski nie robi to żadnego wrażenia, gdyż

przywiązanie jego do żydów jest tak zakorzenione, że nie da się zachwiać żadnemi argumentami. Mimo, że żydzi udają patryotów niemieckich i starają się często dla pozoru być bardziej niemieckimi, niż sami Niemcy, to mimo to Niemcy w obcowaniu potocznem unikają o ile możności żydów i nie popierają ich handlu stosunkowo ani w dziesiątej części tyle, co Polacy. Polski lud zaś mimo to, że żydzi występują wszędzie otwarcie wrogo przeciw polskości, lgnie do żyda, jak mucha do miodu. Jest to bardzo smutnym objawem, dowodzącym, że lud polski stoi jeszcze na bardzo niskim stepniu poczucia własnej godności.“

Oby i to zmieniło się na lepsze *jaknajrychlej!!*

Zbytnie służalstwo ***Koła polskiego*** w Wiedniu w obec rządu austryackiego potępiła jaknajsurowiej większa część prasy galicyjskiej. Między innemi pisze **„Nowa Reforma“**:

„Ze strony demokratycznej nie po raz pierwszy wytknięto menerom Koła polskiero we środę, że taktyka ich polityczna jest przestarzała, że trzeba ją zmienić, jeżeli Koło nie chce podkopać do reszty swego znaczenia wobec państwa, rządu i kraju. Taktyka to stanowczo przestarzała i dla tego chybia celu.

„Ona mogła odpowiadać sytuacyi w pierwszem zaraniu parlamentaryzmu. Galicya otrzymała rozporządzenia cesarskie, dające pewne prawa językowi polskiemu w szkole i urzędzie; dano jej samorząd, polskich urzędników i nauczycieli. Kraj odetchnął, zrzucił siebie zmorę niemieckości. Nikt wtedy nie brał za złe przywódcom naszym politycznym, gdy zapomniawszy o tem, co było, zapewniali koronę o wdzięczności narodu polskiego i przyrzekli popierać państwo, w którem żywioł polski znalazł częściowy bogdaj wymiar praw, traktatem rozbiorowym zagwarantowanych.

„Ale od tej chwili minęło lat blisko 40. To, co dano nam wówczas, dano potem i ludom innym; w zamian zaś za prawa, nałożono na nas ciężary olbrzymie nie licząc się z naszemi siłami. Należało więc sięgać po prawa dalsze, bronić kraj przed nawałem żądań centralnego rządu. — Tymczasem delegacya polska ciągle dziękowała, bezustannie zapewniała o wdzięczności kraju, coraz mniej żądała, a coraz więcej dawała. Kraj zgiął się w pałąk pod naciskiem tej polityki wdzięczności, — a Koło polskie ani spostrzegło, jak stało się partyą dworską, poczuwającą się w pierwszem rzędzie do spełnienia każdego życzenia sfer rządowych, a zwłaszcza grupujących się koło korony.

„Przed laty trzydziestu kilku, gdy nie rozwinął się jeszcze konstytucyonalizm austryacki, a groziło niebezpieczeństwo, że pierwszy lepszy prezydent gabinetu odebrać nam może to, co dał jego poprzednik, — taka polityka mogła mieć racyę. Ale dzisiaj, gdy nabytych praw jesteśmy pewni i gdy kraj nasz stał się czynnikiem, z którym państwo poważnie liczyć się musi, polityka ustępstw i wdzięczności jest anachronizmem i odbija dziwnie na tle taktyki wszystkich innych stronnictw parlamentarnych.“

„Dzisiaj stronnictwo, które nie żąda i ze swoich żądań nie czyni kwestyi „aut-aut“ — nie dostanie niczego w Austryi. Pp. Jaworski, Dzieduszycki, D. Abrahamowicz „et toutti quanti“ uważają taką politykę za... niedelikatną, nie dość uprzejmą; oni związani są przeszłością swoją z dworem, nie mogą przedzierzgnąć się w ludzi innych, niż byli nimi przed laty! Ha! Jeżeli tak, jeżeli oni wstydzą się żądać lub odmawiać, — to niechże sobie powiedzą, że ten wstyd tak samo jak poczucie spełnionych obowiązków, jest znowu ich osobistą własnością, bo kraj, nie wstydzi się żądać tego, co się mu należy.

„I dlatego nie jest to ani czczym frazesem, ani pogróżką, gdy się mówi i pisze, że Koło polskie nie znajduje oddźwięku w kraju i — jak to prezes Jaworski zauważył — spotyka się z okrzykiem „Koło delendum est.“

Gdzież niema polskiej *intrygi?* Spotykamy ją nawet już na kolejach w *Mandżuryi* chińskiej. Odkrył ją tam korespondent rosyjskiego dziennika **„Nowoje Wremia“**, ale na szczęście w formie dla nas *pochlebnej*. Ubolewa on nadtem,

„iż na całej linii kolejowej konduktorami, maszynistami, a nawet zawiadowcami są prawie sami Polacy. Ale jednocześnie z tem ubolewaniem, mimowoli zapewne, oddaje hołd polskiej wyższości etycznej. Po przybyciu do jakiejś stacyi pewien konduktor (niewątpliwie Rosyanin, bo nie nazywa go korespondent Polakiem), kazał wysiąść z pociągu młodej, przystojnej dziewczynie i chciał ją zostawić „do rozporządzenia p. naczelnika“, ponieważ bilet jej miał być „w nieporządku.“ Przypadkowo rozmowę z naczelnikiem podsłuchał urzędnik kolejowy „idealista“ Polak i „zrozumiawszy, o co właściwie chodzi“, z własnej kieszeni kupił bilet strwożonej dziewczynie. Możeby i to jej nie pomogło, ale ów Polak objaśnił rzecz korespondentowi i jakiemuś jadącemu pociągiem generałowi, a ich wmięszanie się do sprawy wystarczyło, aby dziewczyna mogła swobodnie udać się w dalszą podróż. Ale co wówczas bywa, dodaje korenspondent, jeżeli inne dziewczyny lub kobiety są w podobnem położeniu, a nie mają na swoją obronę ani „idealisty“ Polaka, ani rosyjskiego generała?“

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Z nad Noteci.

Przy ujściu rzeki Głdy do Noteci, w uroczym parowie, otoczonym malowniczemi wzgórzami, leży miasteczko Uście. Znane z wojen szwedzkich sromotną kapitulacyą Krzysztofa Opalińskiego posiada dziś wspaniałą i na całą Wielkopolskę a nawet poza jej granice słynną Kalwaryę. Zrazu założona w małych rozmiarach, dzięki niestrudzonej pracy obecnego ks. proboszcza i jej założyciela, w krótkim przeciętowo czasie i li tylko z dobrowolnych ofiar podniosła się do tak imponującego dzieła, jakiem się teraz przedstawia. Wśród pięknych a rzadkich drzew i krzewów, wśród wspaniałych klombów i piramid, misternie ustawionych z najrozmaitszych kwiatów, wznoszą się liczne groty, kaplice i kapliczki, istne perły smaku artystycznego. A uroku i piękności dodawają im jeszcze błyszczące kaplic ściany, wykładane drobnemi kamykami szkła w różne kolory, wyrażające ozdobne arabeski i kwiaty. To też całe to wspaniałe dzieło wywiera dziwny jakiś urok i świętym napełnia spokojem każdego, który miejsce to zwiedza. Boć zewnętrzne otoczenie jest już piękne i zachwycające, a tem więcej wewnętrzna ozdoba kaplic. I tak w jednej widzimy Zbawiciela z wielkim krzyżem na ramionach prowadzonego przez dwóch oprawców, trzy prześliczne figury naturalnej wielkości. Żywe, oku przyjemne zielone światło, wpada z dwóch stron i oświeca smutny ten obraz na znak, że kto z wiarą i ufnością spojrzy na krzyż, ten bywa zbawiony. W innej znowu kaplicy, przedstawiającej ruinę, spostrzegamy Matkę Najświętszą z ukochanym Swym Synem na łonie. Jest to jedna z najpiękniejszych kaplic. Z trzech stron opromienia tę do serca przenikającą scenę czerwone światło. I patrząc przy tych czerwonych a czarujących promykach w to rozdarte serce Matki Jezusowej zapomina się zupełnie o świecie a czuje się tylko nędzę swą moralną, która jej tak okropną boleść sprawiła. Zwracając zaś swój wzrok nieco na prawo roztacza się przed nami prześliczny krajobraz cały jakby w ogniu poszyty lasami, kwiecistemi łąkami i srebrnemi wstęgami Głdy i Noteci. Przy wyjściu z tej rzewnej kaplicy spostrzegamy prześliczną kaplicę poświęconą Najsłodszemu Sercu Jezusowemu na podziękowanie za otrzymane ofiary na Kalwaryi. Przedstawia ona rodzaj twierdzy z okrągłą wieżyczką na znak, że, kto się schroni za Serce Jezusa, ten nie zachwieje się ani upadnie na duchu. Wnętrze kaplicy, której ściany marmuryzowane są przez Włochów, zdobi wielka śliczna figura Serca Jezusa naturalnej wielkości. Nieco opodal w zagłębieniu otoczony drzewami i kwiatami znajduje się ogrojec cały z tufu wapiennego. W górnej jego części widzimy Chrystusa ochotnie przyjmującego z ręki anioła kielich cierpień na się, w dolnej zaś zaś części spostrzegamy apostołów śpiących.

Wiele jeszcze innych prześlicznych rzeczy napotyka się tu na każdym prawie kroku, jak bogate wazony, rzadkie okazy kwiatów i śliczne mozaiki; słowem wszystko tu jest piękne tak, że opuszczając z głębokiem zadowoleniem wiekopomne to dzieło nie ma się, dość słów podziwu i uwielbienia tak dla wspaniałej Kalwaryi jako też dla jej założyciela. Coraz też więcej ludzi zwiedza z bliska i z daleka to cudowne iście miejsce, a już najliczniej, bo większemi nawet kompaniami zbierają się pielgrzymi na wielki kalwaryjski odpust, który w tym roku przypada na niedzielę 6 lipca. Na uroczystość tę zjeżdża i to napewno Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup Likowski i udzieli dzień przedtem i nazajutrz Sakramentu bierzmowania. Podobno bardzo dużo ludzi wybiera się na ten odpust i znaczna liczba księży ma na niego przybyć.

Nadmienić wypada, że wszystkie fi-

gury na Kalwaryi sprowadzone zostały od p. B. Szpetkowskiego z Poznania i zyskały ogólne zadowolenie.

Czytelnik „Pracy“.

* * *

Wilhelmsburg.

Szanowna Redakcyo!

Jako gorliwy Polak-katolik, który już kilkanaście lat przebywa na obczyźnie, poznawszy przez to świat i ludzi, pozwolę sobie i o tutajszem mieście, w którem się wielu Polaków znajduje, Szanownej Redakcyi kilka słów donieść. Miasteczko Wilhelmsburg jest przeważnie fabrycznem; zamieszkuje w niem około 4 tysięcy Polaków. Są tu cztery Towarzystwa polskie; pierwsze Tow. Św. Stanisława Biskupa, 2 Tow. Św. Józefa, 3 Koło Śpiewackie „Wanda“, 4 Klub Kołowników Polskich. Pierwsze ma na względzie cele religijne, drugie, trzecie i czwarte cele narodowe. Ale policzyć członków tych czterech Towarzystw to zaledwie 100 by naliczyć można! Ileż więc braknie do tych 4 tysięcy? Odpowiedź łatwa. Takie zobojętnienie dla spraw naszych Towarzystw zasługuje tylko na wielką naganę. Lecz gdzież można tę główną część naszej polonii spotkać? Po knajpach, na narożnikach ulic, prowadzących gorszące mowy i t. p.

Wszelkie napomnienia, gorące mowy okolicznościowe niektórych mówców są głosem wołającego na puszczy. Raz nadarzyła się sposobność, w której zeszło się nas około 500 osób. Otóż na Boże Narodzenie i Wielkanoc odwiedza nas polski ksiądz, mamy więc sposobność dwa razy do roku słyszeć polskie kazanie i po polsku się spowiadać. Wielebny Ksiądz poinformowany przedtem o stosunkach Polaków tutejszych, zaprosił z kazalnicy wszystkich obecnych w kościele Polaków, na wieczorne posiedzenie Tow. Św. Stanisława Biskupa, gdzie każdy zdrowo myślący miał okazyą wypowiedzieć o tem, co go boli. To też mówców nie brakło a co jeden to lepiej mówił, albo deklamował. Ks. prelegent doskonale się wywiązał ze swej mowy, za którą też i oklasków nie brakowało; obudził też w niektórych ducha, którzy wreszcie i do Tow. Św. Stanisława Biskupa wstąpili. Dalej przemawiał ks. prelegent o łączności, ażeby więc złączyć te cztery Towarzystwa w jedno, na słusznej drodze dałoby się wszystko zrobić, gdyby niestety mąciwody nie psuli nam szyków. Są nawet tacy, którzy wbrew uchwałom pracują; potrafią oni sobie zjednać swoich ludzi i wtenczas, chociaż sprawy uchwalone, potrafią je obalić... Dopóki takich ludzi w Towarzystwach mieć będziemy to o łączności mowy nie ma, bo trudno już je nawet utrzymać w obecnym stanie!

Jeden za wielu.

* * *

Z Rzymu.

Jako dowód, że rodacy nasi także u obcych przez sumienne wypełnianie swych obowiązków i gorliwość dla sprawy, której się poświęcili, uznanie znajdują, zamieszczamy poniżej nadesłany nam łaskawie przez jednego z przyjaciół naszych z Rzymu wycinek z dziennika Rzymskiego „*Vera Roma*“, gdyż przypuszczamy, że Szan. Czytelnikom naszym przyjemnym będzie.

Oto co pisze „Vera Roma“:

„O Polakach byłoby wiele do pisania, mianowicie o gorliwości i pobożności tego narodu, jakoteż i wielkiem przywiązaniu do św. Stolicy Apostolskiej. Dlatego list ten wystosowałem do gazety „Vera Roma“, gdyż uważam za obowiązek tej gazety rozszerzać sławę tego narodu. — Już od niejakiego czasu staraliśmy się pilnie, aby dobrze przysposobić dzieci do pierwszej Komunii św. W niedzielę zeszłą poprosiłem gorliwego i przykładnego z pobożności kapłana, wielebnego ks. Marcina Pinciurka, który odprawił Mszę św. i od ołtarza krótko, lecz tkliwie przemówił zwracając się szczególnie do serc młodzieży, i wskazując na ważność wielkiej tajemnicy Przenajśw. Sakramentu Ołtarza, potem z wielką powagą i pobożnością wykomunikował dzieci. Nieszpory odprawiły się uroczyście, wielebny ks. Marcin Pinciurek, udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Czcigodny ten kapłan jest Polakiem z pod zaboru rosyjskiego i od wielu lat już mieszka w seminaryum w Palestynie pod Rzymem. Odprawia on Mszę św. zawsze w kościele katedralnym a nawet często w zastępstwie którego z przewiel. księży kanoników. Przez swoje przykładne życie kapłańskie, zjednał sobie serca i szacunek wszystkich obywateli miasta naszego, jakoteż i miejscowego Duchowieństwa. W imieniu parafian a szczególnie rodziców dzieci, które w tym roku przystępowały do pierwszej Komunii św. wielebnemu ks. Marcinowi składam na tem miejscu publicznie serdeczne dzięki, kreśląc się zawsze wdzięcznym przyjacielem. *Ks. Valentino Cianfriglia,*
prob. par. N. P. M. Zwiastowania.“

Sprawy ekonomiczne.

Wystawa wynalazków polskich *we Lwowie.*

I.

Spełniając nasze przyrzeczenie, dajemy dziś pogląd na dział wynalazków polskich na lwowskiej wystawie technicznej, ażeby Czytelnicy nasi sami się przekonali, że i w tej dziedzinie nie braknie nam ludzi przemysłowych, że nie brak tu winien, lecz gnuśność społeczeństwa całego, jeżeli dotychczas pozostajemy pod tym względem za innymi narodami.

Zaczniemy od wynalazków pana *Edwarda Lepszego*, który wystawił ich całą kolekcyą. Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę jego model nowego *aparatu sygnałowego na lokomotywie.* Aparat to taki: Do szyn przytwierdza się z boku poziomo odpowiednio wygiętą sztabę metalową. Lokomotywa, przejeżdżając przez to miejsce, zawadza o tę sztabę stósownie przymocowanem narzędziem, które wskutek tego powoduje wyskakiwanie tarczy sygnałowej *tuż przed maszynistą* na lokomotywie a równocześnie otwiera gwizdawkę. Sygnalizowanie odbywa się więc tu mechanicznie, a nie optycznie, przez co odpada niebezpieczeństwo niedojrzenia sygnału wśród nocy, mgły lub dymu. Pomysł ma także tę dobrą stronę, że sztabę ową można przytwierdzać na dowolnem miejscu przestrzeni, w razie potrzeby i w ten sposób ostrzegać pociąg automatycznie przed grożącem mu niebezpieczeństwem w tem miejscu.

Dalszym praktycznym pomysłem p. *Lepszego* są kleszcze do wiązania żył. Rzecz się ma tak: Na koniec kleszczy zakłada się nitka z węzłem, poczem końcami kleszczy chwyta się koniec żyły. W tej chwili nitka zesuwa się na żyłę i wiąże, a kleszcze same odcinają pozostałe końce nitki, które pozostają w kleszczach.

Dalej następuje tak zwany „*kołołak*“ pomysłu pana Lepszego. Jest to koło, którego obwód bez rozrywania można zwiększać lub zmniejszać. Zastosowanie koła takiego może być rozmaite, n. p. przy transmisyach do uregulowania chyżości obrotu kół, do wyrównywania rur zgnieconych itp. A zmianę rozmiarów koła wykonywać można podczas ruchu na podstawie systemu dźwigni w tarczy umieszczonych, za pomocą korby.

W końcu wymienić należy *bandaż stalowy* siatkowy.

Modele te u nas nie są jeszcze wypróbowane praktycznie, bo my — mało się interesujemy sprawami takiemi, władze austryackie zaś także nie, skoro wynalazcami są Polacy! Próby z przyrządem sygnalizacyjnym dla lokomotyw odbywają się obecnie... w *Ameryce!!*

Bardzo cenną zdobyczą dla techniki zdaje się być także „*taran hydrauliczny*“, wystawiony przez inżyniera *Wolskiego* Wacława, a stosowany obecnie w w wielu kopalniach. Jest to właściwie nie taran, lecz *świder* ziemny, a działa za pomocą przenoszenia siły przez prąd wody, który pod wysokiem ciśnieniem przepływa od tłoczni przez rury aż na spód otworu i tam wprawia w ruch *motor wodny*, poruszający świder.

Kit do spajania pasów maszynowych — ruchodawczych — własnego wynalazku wystawiła fabryka pasów *Ignacego Wurma* w Krakowie. Kit ten jest nierozpuszczalnym nawet przy najwyższem rozgrzewaniu się pasa podczas ruchu maszyn.

Bardzo interesującemi są także wynalazki inżyniera *Grubińskiego*, nadesłane przez warszawskie towarzystwo „*Vapor*“

Między innemi jest tu bardzo praktyczny *przygrzewacz pary*, dający do 30 procent oszczędności na paliwie, a stosowany już w wielu wypadkach w Królestwie. Dalej tw. „*infilator*“, przyrząd dla szybkiego a automatycznego przewlekania nitek przez otwór czołenka przy warsztatach *tkackich*. Pan Grubiński jest wogóle bardzo pomysłowym. Inne jego wynalazki, jak np. machiny rolnicze zupełnie nowe, automobile, rowery itp. znajdują się dopiero w stadyum prób praktycznych. Arcyciekawym jest jego *rower bez przenośni i łańcucha*, przy którym obrót kółek zazębionych przenosi się wprost współśrodkowo na koło przednie za pomocą przyciskania dwóch długich pedałów. Próby przedsięwzięte z tym rowerem, i to w dodatku bardzo ciężkim, wykazały, że jedno przyciśnięcie pedału posuwa machinę na 10½ metra naprzód. Pomysł ten mamy na wystawie niestety tylko na fotograficznych zdjęciach. Mimo to interesuje bardzo kolarzy.

Przejdźmy teraz do działu *chemii*. Tu wielką praktycznością odznaczają się mianowicie wynalazki inżyniera-chemika *Ostrejki* z Litwy. Przypatrzmy się najprzód jego *filtrowi węglowemu odbarwiającemu*. Siła tego filtru jest wprost zdumiewającą. Zarówno fachowcom jak i lajkom demonstrują to ad oculos *słoje*, w których z jednej strony mieści się silnie zanieczyszczony *łój* — po drugiej stronie ten sam łój jako przetwór filtrowany, przezroczysty i bielutki twardy tłuszcz.

Pan Ostrejko urządził fabrykę filtrującą węglem na Litwie, zkąd pochodzi, i tam przeprowadza próby z wynalazkiem swoim na wielką skałę. Wynalazkowi temu warto poświęcić kilka obszerniejszych uwag.

Wiele surowych produktów fabrycznych, jak np. cukier, spirytus, wazelina, gliceryna, oleje mineralne i roślinne, nafta itd. musi podlegać czyszczeniu. Jedne czyści się ługiem sodowym, inne kwasem siarkowym. Są jednak produkty, (jak np. cukier, spirytus itp.), do których czyszczenia ani kwas siarkowy ani ług sodowy zastosowanemi być nie mogą. Do rafineryi tych produktów proponowano już setki rozmaitych sposobów, lecz dotychczas lepszego materyału od *węgla* nie znaleziono. Ma on tę jeszcze wielką zaletę, że przy czyszczeniu surowych produktów zatrzymuje i ciała barwne i pachnące i wszelkie inne mechaniczne zanieczyszczenia.

Wynalazek pana *Ostrejki* otrzymywania węgla o wielkiej sile odbarwiającej i odnawiającej, polega na tem, że wilgotne i rozdrobnione substancye, zawierające węgiel, poddaje się szybko suchej destylacyi, przy rozżarzeniu aż do czerwoności, oraz równoczesnem działaniu np. pary wodnej, kwasu węglowego itd. Węgiel otrzymywany patentowanym sposobem p. Ostrejki odbarwia 15—30 razy silniej, aniżeli świeżo wypalony węgiel kostny, a 80—150 razy silniej, niż zwykły, świeżo wypalony węgiel brzozowy.

Na tem polega ważność wynalazku tego. Próby czynione z nim w galicyjskiej *Stacyi doświadczalnej dla przemysłu naftowego*, dalej w centralnem laboratoryum cukrowniczem w *Warszawie*, stwierdziły, że wynalazek ten z znakomitym skutkiem stosowany być może w *cukrowniach*, *gorzelniach*, dalej do czyszczenia *nafty*, *olejów i tłuszczów* wogóle.

Ciekawiśmy wielce, kiedy *nasze* wielkości *przemysłowe* zwrócą uwagę na ten wynalazek?

W następnym numerze więcej.

Specyalny.

KRONIKA.

Tysiączne tłumy zaległy znów w uroczystość Sobótki lewe wybrzeże Warty ku Miasteczku i jak zwykle na falach rzeki zajaśniały setki świateł, w których blasku przemykały się przed oczyma widzów galary i łodzie strojne w festony i kwiaty. I znów rozbrzmiewały nasze pieśni piękne i jaśniały ognie sztuczne, rozświetlając przygotowane umiejętną ręką żywe obrazy. Skromne u nas wianki, skromnym i cichym ten narodowy obrządek, bo „ze względów bezpieczeństwa“ najefektowniejsze urozmaicenia wzbronione. Tak to u nas w państwie konstytucyjnem. A jakże obchód Sobótki przedstawia się „unter dem despotischen Carentum?“ Oto weźmy np. tegoroczne „wianki“ w Kaliszu. Jak mi naoczny świadek opowiadał, gubernatorstwo, policya i wojsko ubiegało się, ażeby do uświetnienia uroczystości się przyczynić. Nad brzegami Prosny umieszczone były w odpowiednich wywyższeniach siedzenia dla publiczności, cała inteligencya kaliska wraz z wyższym światem urzędniczym i wojskowym stawiła się prawie in pleno, ludność chrześcijańska zaległa brzegi rzeki, a tylko żydom w chałatach straż wojskowa broniła przystępu. Muzyka wojskowa grała kolejno najrozmaitsze melodye polskie, towarzystwo śpiewackie popisywało się świetnemi produkcyami głosowemi, a straż ogniowa miejska świetnie się wywiązała z zadania odpalając najpiękniejsze ognie sztuczne. Co zaś całemu obchodowi nadawało szczególną cechę, to owa harmonia niezakłócona plemienną nienawiścią.

Można być przeciwnikiem fatalnego dla nas i dziś jeszcze systemu rządu rosyjskiego, ale nie można zaprzeczyć, iż pomiędzy Rosyaninem a Polakiem jednakowoż naturalniejszym jest łącznik i sympatyczniejszą styczność niż z Niemcem, chociażby niehakatystą. Rosyanin rozumie nasze życie, pojmuje naszego narodowego ducha, a nierzadko ubolewa nad tem, że nam się źle dzieje. Niemiec nie może pojąć, czego my chcemy z tą swoją odrębnością narodową, zkąd mamy być Polakami, gdy należymy do Niemiec, z jakiej przyczyny się skarzymy, gdy mamy zaszczyt i przyjemność korzystania z kultury niemieckiej.

Prosty dymisyonowany wachmistrz policyjny, wdawszy się w rozmowę z pewnym Polakiem przed kilku dniami, biadał wprawdzie nad tem, że się w dzielnicach wschodnich monarchii pruskiej stosunki tak zaostrzyły i wyraził nadzieję, że to długo nie potrwa i „dass es doch anders wird“.

Polak rozczulony sentymentalizmem Niemca zapytał go, kiedy i na jakich danych spodziewa się zmiany; a Niemiec wciąż wzruszony przy kuflu piwa, odparł: „ich meine dann, wenn die verfluchten polnischen Hetzblätter krepieren.“

Takiem jest typowe zapatrywanie Niemców: przykro im, że są zwady i niesnaski, a spodziewają się, że będzie lepiej, gdy życie polskie gwałtem zduszą, Ale to czasu ułuda.

Choć na arenie publicznej surowo wzbronionem będzie każde polskie słowo, chociażby strażnicy w pikelhaubach do więzienia nas wtrącać mieli za mowę polską, chociażby nawet u progu każdego domu polskiego stanął jeden polakożerczy bohater zur „Stärkung des Deutschtums“ to wewnątrz gniazd rodzinnych i wewnątrz serc będzie płomieniało życie polskie ogniem miłości narodowej podsycane.

Alius.

Widmo Ojczyzny.

O! najmilejsza! gdy w dni mych żałobie,
Jak ognik nocny błyśnie mi przy tobie,
Chwilka szczęścia i rozkoszy,
Zawsze tęsknota jakaś niestłumiona,
Smutne westchnienie wyrywa mi z łona,
I przelotną radość płoszy!

I ty z zdziwieniem pytasz mię, kochana,
Zkąd taka nagła w duszy mojej zmiana,
Zkąd ta natrętna tęsknota,
Której rozpędzić, ukoić nie zdoła,
Czar twoich oczu, ni blask twego czoła,
Ni uśmiech, ani pieszczota.

Dla nas znękanych tułaczą żeglugą,
Nie masz radości co by trwała długo,
A jeśli w smutnej podróży,
Zatli nam lica uśmiech niespodziany,
Szybko odlata — jak motyl zbłąkany,
Co na zwiędłej usiadł róży!

Bo w którąkolwiek obrócim się stronę,
Wszędy Ojczyzny widmo zakrwawione,
Staje przed nami w żałobie —
Staje, pogląda z ponurem milczeniem,
I zda się błagać i pytać wejrzeniem,
„Wiecznie ja będę w mym grobie?“

K. Gaszyński.

Najśw. Panna Marya z P. Jezusem i Janem św.

(Do illustracyi albumowej.)

Są chwile w życiu naszem, gdy miłością przepełnione serce, z żywą wiarą się złączy i snuje z swej głębi piękne myśli i obrazy, wzniosłe melodye lub urocze, wspaniałe postacie. Duch człowieczy tworzy czasem coś widomego w takich chwilach, i wtedy zostaje na jego utworach cecha Bożego natchnienia. Wyższą wolą prowadzony pieśniarz, układa wyrazy w szeregi zwrotek, w pieśni i poematy; muzyk wiąże tony we wzniosłe, porywające melodye; malarz rysuje urocze postacie i prawdziwie Bożym ożywia je duchem.

Tym sposobem powstają między ludźmi kapłani sztuk pięknych. Ich zadaniem jest podnosić uczucie ludzkie ku tym czystym i niedojrzanym przestworzom piękna, gdzie człowiek czystszym i szlachetniejszym się staje. Jakoż działając tylko na zmysły człowieka, wypełniają oni to wielkie zadanie. Człowiek, ujrzawszy lub usłyszawszy jakie ich dzieło natchnione, czuje się objaśnionym jakby słońca promieniami, odgaduje myśl wyższą, która jak perła w muszli w dziele jest zawartą, i otacza czcią i podziwem twórcę, który o tyle wyżej nad poziom zwykłych ludzi, swym duchem wznieść się zdołał.

Serce ludzkie jest jak lutnia, na której Bóg struny niezliczonych uczuć nawiązał. Więc każde z tych silnych uczuć objawiają ludzkości natchnieni kapłani. Miłość kobiety, miłość ojczyzny, miłość cnoty, to wszystko uwieńczają wzniosłemi dziełami mistrzowie tonu, słowa i pędzla. I nie masz szlachetnego uczucia, któregoby te wielkie serca nie poczęły, któregoby te wielkie duchy nie objawiły.

Wszystkie uczucia, objawiane przez natchnionych mistrzów, są wielkie; lecz największem ze wszystkich jest miłość Boga. I czyż mogło być inaczej? Czyż uczucie, wznoszące się ku Stwórcy, ku owej Potędze, która nas wszystkich i wszelką naszą miłość wydała, mogło być słabsze od innych? Nie! To uczucie musiało być najżywsze, najpotężniejsze! Mistrzowie, wznosząc się miłością ku Bogu, widzieli Go na tronie Wszechmocy, śród niezliczonych chórów Anielskich, z Synem i Duchem Świętym, z Matką Chrystusa i niedojrzanym zastępem Świętych i Męczenników... Cóż dziwnego, że mistrze padali na twarz przed takim widokiem, a jeżeli serce ich wówczas przemówiło, to przemawiało z całą potęgą swych uczuć religijnych, z najwyższym podziwem, z największą czcią i miłością. Tym sposobem stało się, iż muzyka religijna była największą z muzyk poezja religijna najwznioślejszą z poematów, malarstwo religijne, takiem jak w albumowym obrazie Rafaela.

Arcydzieła treści religijnej, mogły się pojawić tylko w takich czasach, gdzie ludzie byli istotnie religijni, gdzie serca wszystkich stanów, żywą wiarą były przepełnione. Dzisiaj, gdy wiara nie na jednym punkcie jest zachwianą, nie pojawiają się już tacy mistrze jak: Stradella, Dante, Rafael. Jakoż i obraz, którego odbicie podajemy, nie jest dziełem naszego wieku; owszem, od chwili, gdy go wymalowano, minęło już kilka wieków.

Wspomnieliśmy już, iż twórcą tego obrazu jest malarz włoski, Rafael. Należy się tu więc krótkie wspomnienie temu największemu mistrzowi pędzla.

Rafael Sancio urodził się w Wielki piątek (dnia 28-go marca) roku 1483 we Włoszech, w mieście Urbino; dziwnem zrządzeniem nieba, zmarł także w Wielki Piątek (6-go kwietnia) 1520 w Rzymie. A stała wówczas sztuka malarska we Włoszech na bardzo wysokim stopniu, i żyło bardzo wielu równoczesnych Rafaelowi sławnych mistrzów, od których on naukę pobierał. Obdarzony atoli od najmłodszych lat niepospolitą zdatnością do pędzla, prześcignął wnet Rafael swych nauczycieli i wszystkich sławnych malarzów i stał się mistrzem nad mistrze. W licznych dziełach podziwia świat dzisiejszy jego religijne natchnienie; pokoje Watykanu, pałacu papiezkiego w Rzymie, są utworami jego pędzla przyozdobione; w najsłynniejszych zbiorach Włoch, Francyi, Anglii, Polski, Niemiec, wiszą na pierwszem miejscu jego obrazy.

Jednym z najsławniejszych i najwznioślejszych utworów Rafaela jest obraz Matki Bozkiej, tak zwana „Madonna della Sedia,“ której wizerunek podajemy w illustracyi albumowej. Malował go Rafael około r. 1508, będąc w sile wieku, to jest w chwili, gdy uczucia jego były najpełniejsze i duch najsilniejszym. Jakoż „Madonna della Sedia“ dziwne wywiera na ludziach wrażenie; zrazu zdaje im się, że to jest obraz jak tysiące innych; lecz gdy się dłużej przypatrują, to zaczynają uczuwać, iż ich coś do tych nie



A. Wierusz-Kowalski. Powrót od ślubu.



C. Jankowski. Wieczór wiosenny.

biańskich postaci pociąga. — Odtąd zaczyna się wrażenie potęgować: czem bardziej się przyglądasz, tem trudniej ci się oderwać od obrazu, a gdy przecież w końcu odejdziesz, to stoi on jeszcze długo przed oczyma twej duszy. Długi czas, nie wiesz w czem leży urok tego kawałka zamalowanego płótna; po głębszem dopiero zastanowieniu się poznasz, iż cię nie pociągają figury same przez się lub farby, lecz pociąga cię wyższa myśl w tych figurach i farbach, z niepospolitą prawdą i natchnieniem oddana.

Patrzcie długo i uważnie w obraz. Patrzcie, jak tam przeczysta dusza dziewicza, mięsza się z niewypowiedzianą troskliwością Matki, która wiedząc, że piastuje wcielonego Boga, Zbawienie świata, stara się jak najłagodniej dziecię swę obejmować i tulić do łona. Obok tego rozlewa się w całem obliczu Boska nieskończona miłość, dla rodu ludzkiego. Patrzcie teraz na Dzieciątko Jezus; twarzyczka Jego nie ziemskim promieni się urokiem, bo zna ono swe Boskie pochodzenie i męki swoje przeczuwa. — Patrzcie wreszcie na św. Jana. Duch świętości bijący z wszystkich tych twarzy, zadziwia oko ludzkie. I ztąd to są te oblicza piękniejsze niż wszystkie ziemskie, nigdy i nigdzie w życiu nie widziane, szlachetniejsze, wznioślejsze, Boskie; ztądto jest ta Matka Boska, więcej niż Opiekunką i Orędowniczką ludzi, bo jest Królową Nieba, Królową Aniołów, Królową Świętych, Królową Korony Polskiej.

Takie niebiańskie postacie, mógł tylko stworzyć człowiek przepełniony czystą a żywą wiarą, człowiek wielkiego natchnienia, wielkiego serca i wzniosłej duszy. Takim właśnie człowiekiem był Rafael. Współcześni przedstawiają go jako mistrza, którego serce zdobiły niewymowna słodycz, miłość i cnota, którego duch objawiał się wzniosłemi myślami, wielką szlachetnością i sprawiedliwością.

—ski.

Do Królowej Korony Polskiej.

Królowo Polskiej korony,
W żałobnych szatach, ze łzami,
Błaga Cię naród strapiony:
Wstaw się do Boga za nami
Królowo Polskiej korony!

Siedemkroć siedem boleści!
A każda jak nóż zatruty
Bo ze swą raną się pieści,
Przejmują naród okuty
Siedemkroć siedem boleści!

Czy ojców ciężkie tak grzechy,
Że choć pokuta tak sroga,
Dotąd ni kropli pociechy,
Ni zbawczej wieści od Boga?...
O! ciężkie ojców znać grzechy!

Czy my tak grzeszni, wyrodni,
Że mimo liczne ofiary,
Spojrzenia Boga niegodni?
Och! czyż gniew boski bez miary,
Czy my tak grzeszni, wyrodni?!

Szczęsliwsze inne narody,
W zgodzie, głosami wolnemi
Nucąc pieśń jasną swobody,
Na wolnej pracują ziemi...
Szczęśliwsze inne narody!

Nie przeto grzesznie biadamy,
Choć wrogi bluźnią dokoła,
Choć krzyż z ołowiu dźwigamy,
My wznosząc ku niebu czoła,
Modlim się, a nie biadamy!

Królowo Polskiej korony,
W żałobnych szatach ze łzami
Błaga cię naród strapiony
Wstaw się do Boga za nami,
Królowo Polskiej korony!

Wszakżeśmy byli Ci wierni!
Z tobą na szablach i zbrojach
Sławni rycerze pancerni
W ostrych wzywając Cię znojach,
Wszak zawsze byli Ci wierni!

I będziem wierni Ci zawsze!
Innej znać Pani nie chcemy!
Czasy łaskawsze, czy krwawsze
Napłyną na nas, będziemy
Wierni Ci wszędzie i zawsze!

A jakoś na Jasnej Górze
Błękitnym płaszczem świeciła
Nad garścią obrońców w górze,
I wraże kule gasiła,
Tak jako na Jasnej Górze...

Dziś zaświeć i nasze trudy
Płaszczem opieki osłaniaj,
Pokrzepiaj łask Swoich cudy,
Podszepty piekła odganiaj,
Nam nad naszemi świeć trudy!

Błogosław braci cierpiących,
Z domów po nocach skradzionych,
W licznych więzieniach mdlejących,
W śniegu Sybiru rzuconych,
Błogosław braci cierpiących!

Błogosław braci tułaczy
Stęsknionych pośród obczyzny,
Co się nie dając rozpaczy
Pracują w sprawie Ojczyzny,
Błogosław braci tułaczy!

Błogosław tę garstkę mężną,
Iskry ludowej kapłanów,
Drobną, lecz duchem potężną,
Tę zmorę wszystkich tyranów,
Groźną im, choć bezorężną.

Wlej w zdrową pierś dzieci lackich
Ducha Kościuszków, Czarneckich,
Ducha Kilińskich, Głowackich,
Rejtanów, Skargów, Kordeckich,
W kipiącą pierś dzieci lackich.

Wszak nam nie wolno spodziewać
Po walkach i cierpień kolei
W cześć Twą i Polski zaśpiewać
Pieśń radości i nadziei,
Wszak nam się wolno spodziewać?!

Bogarodzico — Dziewico
Królowo Polskiej korony,
Ku Tobie z łzawą źrenicą
Patrzy się Naród strapiony
Bogarodzico — Dziewico!

Tadeusz Komar.

„Krzyżacy.“

Z powieści historycznej H. Sienkiewicza.
(Do illustracyi.)

Zemsta Juranda.

(Rys. K. Gorski.)

......Jurand wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się naprzemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz, jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu, i pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Jeślić ją oddam — to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!!“ — poczem ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną posadzkę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygfryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął jak burza na skamieniałych Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednem uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachołków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno, — i rozpaczliwem wołaniem o zbroję, o tarcze, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, nawpół obłąkany, sam skoczył ku nim, i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi, niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Godfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za nim padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy, von Bracht i Anglik Hugues, który choć nie bardzo rozumiał o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, wydobył oręż dopiero po zabiciu Danvelda. Inni, widząc straszliwą siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę, gdyż on z włosem zjeżonym na głowie, z obłąkanemi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznemi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę spluskaną posoką, jak burza wali krze i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi, i że równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

— Rozproszyć się! otoczyć go! z tyłu razić!—krzyknął stary Zygfryd de Löwe.

Więc rozbiegli się po sali, jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzioby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym, zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał — ten marł, jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięcioro jego okrutną przyrodzoną siłę. Mieczem, do którego najtężsi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem, jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięstwa, szukał pomsty i jako ogień, al-



Zemsta Juranda.

bo jako rzeka wielka, która zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej prądowi opór stawi, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel — porywał, łamał, deptał; mordował i gasił żywoty ludzkie.

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przytem pospolici żołdacy bali się zbliżać nawet z tyłu, rozumiewając, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tylu klęsk, i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygfryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galeryę, która biegła ponad wielkiemi oknami sali, i poczęli nawoływać innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czynili to skwapliwie, tak, że na wązkich schodach przypychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mocarza, z którym walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi, prowadzące na chór, i Jurand pozostał sam na dole. Z galeryi ozwały się okrzyki radości, tryumfu, i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie rydle, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie otworzyły się wielkie drzwi wchodowe i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł naprędce pochwycić.

A szalony Jurand otarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie — i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.

* * *

Pogrzeb Danusi.

(Rys. K. Górski.)

Zbyszko odbiwszy Danusię Krzyżakowi Zygfrydowi de Löwe, stanął na granicy Spychowa, ale Danusia była już tak bliska śmierci, że zupełnie stracił nadzieję, czy ją żywą ojcu doniesie....

...Danusia leżała spokojnie, coś sobie przypominając, coś rozważając, a na koniec spytała:

— Toś ty nie zabaczył mnie?

I dwie łzy, wezbrawszy jej w oczach, stoczyły się po twarzy na wezgłowie.

— Ja miałbym ciebie zabaczyć! — zawołał Zbyszko.

Było zaś w tym stłumionym okrzyku więcej mocy, niż w największych zaklęciach i przysięgach, albowiem miłował ją zawsze całą duszą, a od czasu, gdy ją odzyskał, stała mu się droższą, niż cały świat.

Ale tymczasem zapadła ponownie cisza; w dali jeno chłop przestał śpiewać i jął raz drugi klepać osełką kosę.

Usta Danusi poczęły się znów poruszać, ale szeptem tak cichym, że Zbyszko nie mógł jej dosłyszeć, więc, pochyliwszy się, zapytał:

— Co zaś, jagódko, mówisz?

A ona powtórzyła:

— Kwiecie pachnie...

— Bośmy przy łące — odrzekł — ale wnet pojedziem dalej... Do tatusia, który też z niewoli wybawion. I będziesz moja do śmierci. Słyszysz-że ty mnie dobrze? rozumiesz?

Wtem targnął nim nagły niepokój, spostrzegł bowiem, że twarz jej czyni się blada i coraz bledsza, a na twarzy osiadają gęsto drobne krople potu.

— Co ci jest? — spytał z okropnym przestrachem.

I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości.

— Co ci jest? powiedz! — powtórzył.

— Ciemno! — szepnęła.

— Ciemno? Słonko świeci, a tobie ciemno? — zapytał zadyszanym głosem. — Dopiero co mówiłaś przytomnie! Na imię Boskie, rzeknij choć słowo!

Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła już nawet szeptać. Zbyszko odgadł tylko, że wymawia jego imię i że go woła. Wnet potem wychudzone jej dłonie jęły drgać i trzepotać się po kilimku, którym była okryta. Trwało to chwilę. Nie było już się co łudzić: — konała!

A on w przerażeniu i rozpaczy począł ją błagać, jakby prośba mogła coś wskórać:

— Danuśka! O Jezu miłosierny!... Poczekaj choć do Spychowa! poczekaj! poczekaj! O Jezu! Jezu! Jezu!

Podczas tego błagania rozbudziły się niewiasty i nadbiegli pachołkowie, którzy byli opodal przy koniach na łące. Ale zrozumiawszy od pierwszego rzutu oka, co się dzieje, poklękali i poczęli odmawiać w głos litanię.

Powiew ustał, przestały szemrać liście na gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się wśród wielkiej, polnej ciszy.

Danusia przed samym końcem litanii otworzyła jeszcze oczy, jakby chcąc spojrzeć po raz ostatni na Zbyszka i na świat słoneczny, poczem zaraz zasnęła snem wiekuistym.

* * *

Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki i obficie rosnące różowe smółki i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż, gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korodowem nosze i poczęli je maić. Pokryli więc prawie całkiem kwieciem i ziółmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonków i lilii bielała, cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po niejakim czasie, gdy im smutek i boleść łzami spłynęły, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się już Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów, śpiewały na przedzie pieśni pobożne — i tak zwolna szli i szli między zieloną łąką, a równym szarym ugorem, jakby jaka procesya żałosna.

Na modrem niebie nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słoneeznym.

Powrót.

Po tułaczce sierocej
Do swych ojców mknę ziemi;
Wszystko stoi, jak stało:
Brzoza z liśćmi srebrnemi.

I te łąki, te bory,
I te lipy, jawory,
Te ruczaje, polany,
W piękne strojne wciąż kwiaty.

Dolą ludek stroskany,
I te same znów chaty...
Po tułaczce sierocej
Do swych ojców mknę ziemi,

Ptak kołysze mi serce
Piosenkami swojemi,
Dziwnem szczęściem mnie darzy
Śpiew żniwiarek, żniwiarzy.

Tylko smętny głos duszy
Pyta — drogi, pamiętasz
Czy ci serca nie wzruszy,
Że się zwiększył tak cmentarz?!

Zygmunt Różycki.

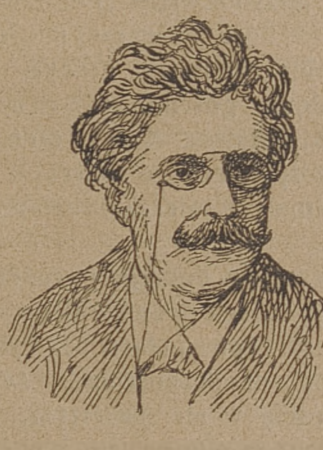


Pogrzeb Danusi.

Z chwili.

(Do illustracyi.)

Poseł czeski w austryackim parlamencie, Wacław Klofacz, jest z zawodu dziennikarzem. Jestto młody, najwyżej 34 lata liczący, przystojny mężczyzna, wzrostu średniego, krępej budowy ciała, o podłużnej twarzy i wielkich oczach, przysłoniętych okularami, dość silnych wą-



Wacław Klofacz.

sach i lwiej, ciemnokasztanowatej, rozwichrzonej czuprynie; zwraca na siebie uwagę i czyni sympatyczne wrażenie. Zaraz po pierwszem posiedzeniu Izby poselskiej, gdy tylko śp Ferdynand Weigel, jako prezydent ze starszeństwa, zaczął mówić, narobił p. Klofacz okropnej wrzawy, wołając: „Mów pan po polsku, nie po niemiecku. My nie rozumiemy po niemiecku.“ Naturalnie prezydent nie zważał na powyższe słowa. Później poseł Klofacz przeprosił sędziwego prezydenta za swe wystąpienie, tłomaczył się jednak koniecznością zaznaczenia swego stanowiska. Zrazu poseł Klofacz znajdował pewne trudności we władaniu językiem niemieckim, obecnie jednak nabrał w nim wielkiej wprawy i swoje zapytania w sprawie mowy cesarza Wilhelma wygłosił w tak dobrej niemczyźnie, że go wszyscy Niemcy zrozumieli.

P. Klofacz wniósł jeszcze drugą interpelacyę w sprawie mowy, wygłoszonej przez kanclerza Buelowa w pruskiej Izbie panów przy dyskusyi nad projektem antipolskim. Mowę tę nazywają interpelanci umyślnem podburzaniem Niemców po za granicami państwa niemieckiego, szczególnie zaś w Austryi. Jeżeli austryaccy mężowie stanu dotychczas na wszystkie prowakacye, jakie wyszły z Berlina, milczeli, to po mowie Buelowa muszą mówić, jeżeli ich ciągłe milczenie nie ma wzbudzić wrażenia, że Austrya jest wasalem Niemiec. Austryaccy mężowie stanu muszą podnieść zadanie historyczne Austryi, która po to powstała, aby przez połączenie w jedno małe państewka i narodowości otrzymały dostateczną siłę do obrony swej egzystencyi i indywidualności. Interpelanci zapytują prezydenta gabinetu, jak się zapatruje na to historyczne zadanie Austryi i czy skłonny jest to stanowisko także publicznie proklamować jako odpowiedź na słowa niemieckiego kanclerza, które z pewnością w pierwszym rzędzie były zwrócone do Austryi.

P. Klofacz zwrócił się w tej samej sprawie także z osobnem zapytaniem do prezydenta Izby. Mówca podnosi, że mowa hr. Buelowa była apelem do Niemców, mieszkających po za granicami państwa niemieckiego, a szczególnie w Austryi, że kanclerz niemiecki rozwinął sztandar pangermański.

Odpowiedzi na interpelacyę w sprawie mowy malborskiej cesarza Wilhelma, dr. Koerber odmówił w sposób, który jest dla naszego parlamentaryzmu charakterystyczny. „Aby nie drażnić panów dyplomatów, dzisiaj — powiada mówca — ubieram rękawiczki i stosuję do prezydenta.

Klofacz otrzymuje ciągle mnóstwo telegramów ze wszystkich ziem polskich: Z Warszawy, Poznania, Lwowa i wielu innych miejscowości.

Telegram Wielkopolan opiewa: „Oby i polscy posłowie we Wiedniu zechcieli pana naśladować! wiwat pan, wiwat naród czeski!“

Ze Stanisławowa nadeszły dwa czeskie telegramy z podpisami polskimi.

Charakterystyczne jest, że z Poznania napływają otwarte karty z pełnym podpisem i adresem.

* * *

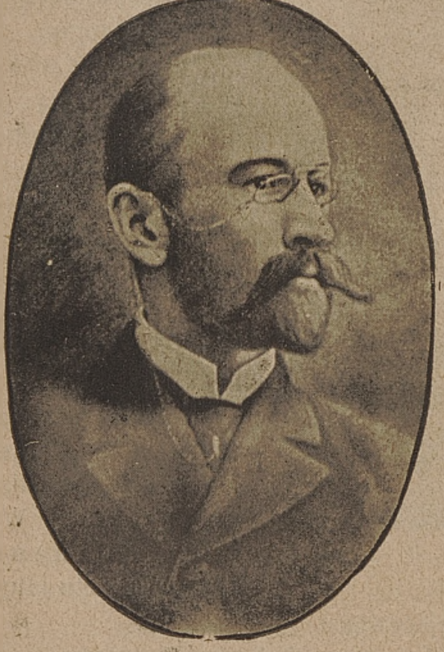


Poseł czeski, Wojciech Holanski,

którego portret również zamieszczamy, należy w parlamencie austryackim do t. zw. partyi Młodo-Czechów, jest także przyjacielem Polaków i ujmuje się nieraz za naszemi krzywdami. On to między innemi zainterpelował czasu swego parlament austryacki w głośnej, ale dla nas tak bolesnej i nieszczęsnej sprawie wrzesińskiej.

* * *

Zygmunt S. Słupski, właściciel, wydawca i redaktor pisma humorystycznego „Komar“ (dawniej „Bocian“), zasłużony literat i współpracownik naszego pisma, o którego procesie i utworach lireracklch pisaliśmy w nr. 24-ym na stronie 674, cofnął rewizyą założoną



Zygmunt S. Słupski.

przeciw wyrokowi izby karnej, skazującemu go na 6 miesięcy więzienia za obrazę majestatu i rozpoczął odsiadywanie kary. Jakkolwiek nie czuł się winnym, widział się zmuszonym zrezygnować z rewizyi wyroku, ponieważ zażalenie obrońcy jego przeciw zatrzymaniu go w więzieniu śledczem zostało odrzucone. Byłby więc w więzieniu musiał odczekać terminu przed sądem rzeszy i rezultatu rewizyi, coby było miało ten skutek, iż nawet w razie zniesienia wyroku izby karnej i uwolnienia, znaczną część kary byłby już odsiedział w formie więzienia śledczego. W razie zaś odrzucenia rewizyi byłaby kara jeszcze znacznie się przedłużyła, gdyż dopiero od prawomocności wyroku liczy się odsiadywanie kary. *—ski.*

Drzewo oliwne.

(Do illustracyi).

Drzewo oliwne, którego ojczyzną jest Azya i które znane już było w zamierzchłej starożytności hoduje się od wieków w rozmaitych, odmianach we Włoszech, Grecyi, Syryi, Francyi południowej, Hiszpanii południowej, na Archipelagu, na Malcie, na wyspach Jońskich, także w Krymie, nawet w Ameryce, mianowicie w Meksyku, Chili i Peru.

Drzewo oliwne stanowi w niektórych krajach główne źródło dochodów mieszkańców. I tak bogactwo Grecyi spoczywa przeważnie w drzewach oliwnych, których w tym kraju jest kilkanaście milionów; słynne są mianowicie bory oliwne w Megarze i Amfisie, oraz nad atyckim Kefisem.

Główną wartość drzewa oliwnego stanowi tłusty olej, który w handlu znany jest przeważnie pod nazwą „oliwy t. zw. prowanskiej.“ Olej ten zawarty jest w obfitej ilości (aż do 50%) we wszystkich częściach owocu oliwnego. Już od najdawniejszych czasów stanowi oliwa ważny produkt handlowy.

Najlepszą oliwę dostarcza Francya południowa z Alixu, Marsylii i Nizzy... Znakomity towar dostarczają dalej Genua, Otranto, Piza i Afryka północna.

Krajowcy używają oleju oliwnego do wszelkich potraw zamiast masła i okrasy; spożywają także owoc niezupełnie dojrzały jako potrawę przyrządzoną ze solą, pieprzem, korzeniami i octem.

Oliwa wyświadcza dalej, jak wiadomo, wielkie dobrodziejstwo, cierpiącej ludzkości i stanowi podstawę główną rozlicznych maści, nacierań, plastrów i różnych mikstur.

Oliwę używano także już przed narodzeniem Chrystusa do celów religijnych. Świętą maścią, którą według starego testamentu namaszczano królów i kapłanów, była oliwa. Oliwę i dzisiaj święcą corocznie we Wielki Czwartek w katedrach biskupi, przeznaczoną dla konających jako „Ostatnie olejem św. namaszczenie.“

W klasycznej mianowicie starożytności było drzewo oliwne w wielkiem poszanowaniu; liść jego był cenniejszym od liścia laurowego. Wieniec z liści drzewa oliwnego był najwyższem odznaczeniem dla męża około ojczyzny dobrze zasłużonego i najpierwszą nagrodą dla zwycięzcy w igrzyskach olimpijskich.

Gałązka drzewa oliwnego była już wtenczas, jak po dziś dzień, symbolem przyjaźni i pokoju. Z nią zbliżano się w modlitwie do bożków, z nią pytano się wyrocznie o radę.

Z gałązką też oliwną stanęli Kartagińczycy przed Scypionem, zwycięzkim wodzem Rzymian, prosząc go o darowanie im życia po najwaleczniejszej, lecz bezowocnej sześciodniowej i sześcionocnej bez przerwy walce. I gołębica po potopie z arki Noego wypuszczona, oznajmiła światu, trzymając w dzióbku oliwną gałązkę, że Bóg przebaczył już grzesznym ludziom i że wody już opadły.

Nie tylko z owocu drzewa oliwnego mamy nadzwyczajny pożytek, ale także drzewo samo ścięte jest nadzwyczaj przydatnem do fabrykacyi wszelkich mebli luksusowych.

Drzewa oliwne to przeważnie sędziwi Pra-Matuzale. Badacze i naturaliści twierdzą, że 8 wielkich drzew oliwnych, znajdujących się w t. zw. małym ogrodzie oliwnym, miejscu cierpień naszego Zbawiciela, u podnóża góry oliwnej pod Jerozolimą, pochodzi jeszcze z czasów Chrystusa. *—ski.*

Z tajemnic świata zagrobowego.

III.

Książe N. Golicyn ogłosił w swoim czasie w jednem z pism następujące zdarzenie:

W r. 1822 powracając z Paryża do Rosyi, skierowałem drogę na Śląsk, ażeby raz jeszcze rzucić okiem na te prześliczne okolice, zatrzymując się w znajomych miastach, jak w Zgorzelicy, Świdnicy, Lignicy i innych, których wspomnienia żywo utkwiły mi w pamięci. Pragnąłem przedewszystkiem być w Jaworze (Jauer), gdzie po bitwie pod Katzbach leżałem przeszło miesiąc na opiece dobrych gospodarzy traktyerni „Pod Złotym Lwem.“ Zasługiwali na to, abym, zboczywszy z drogi, raz jeszcze podziękował za okazaną gościnność w czasie wojny nieznajomemu żołnierzowi.

Zauważyłem, że gdym pocztylionowi wydał rozkaz stanąć „Pod Złotym Lwem,“ gdzie trzyma traktyernią znajomy mi Godfryd Holzman, pocztylion mruknął „Verfluchter Ort“ (przeklęte miejsce!), a gdy za chwilę bryczka stanęła przed domem, ujrzałem napis „Pod Złotem Sumieniem“ i dom coś inaczej mi się przedstawił. Wszedłem do środka. Pomiędzy wieloma gośćmi znalazłem znajomego mi kapitana wojsk niemieckich. Jego też spytałem, co znaczą te zmiany i gdzie obecnie mieszka znajomy Holzman.

— Waszego dobrego gospodarza już niema na świecie; umarł on w r. 1817, ale śmierć jego połączona była z tak dziwnemi okolicznościami, że może z trudnością w nie uwierzysz, chociaż co do ich rzetelności nie zachodzi najmniejsza wątpliwość. Jeśli zas ciekawy jesteś tej historyi, nikt cię lepiej nie objaśni o szczegółach odemnie, bo ten, przez którego cała ta sprawa wykryła się, był moim najlepszym przyjacielem — ale i on już nie żyje.

Poprosiłem go o szczegóły zdarzenia, będąc wielce zaciekawiony.

— Nie lubię opowiadać o tem zdarzeniu, bo wiem, że są ludzie, którzy w nie nie wierzą, a są aż do zbytku zabobonni; sądu jednych i drugich wolę unikać, bo sprawa ta zbyt blizko dotyka mego serca, z powodu przedwczesnego zgonu najdroższego mego przyjaciela.



Drzewo oliwne.

Aby nikt nam nie przeszkadzał, udaliśmy się do oddzielnego pokoju. Tu kapitan zwrócił się do mnie i opowiadać zaczął.

— Wiesz, że nieboszczyk Holzman był człowiekiem spokojnym, łagodnym i uczciwym w najwyższym stopniu, lecz żona jego, pomimo swej piękności, była charakteru wprost przeciwnego.

Po ukończeniu wojny jeden z jeńców francuskich stały gość Holzmana, osiadł na stałe w Jaworzu, a ponieważ nie zajmował się niczem, zwracało to uwagę niektórych mieszkańców. Wkrótce nie bez racyi zaczęto szeptać, że Francuz kocha się w Holzmanowej, która odpłaca mu wzajemnością.

Holzman pozostawał w stosunkach z fabrykantem sukna Kuntzenbergiem z Wrocławia, z którym znałem się od dzieciństwa. Kuntzenberg, przyjeżdżając do Jaworza, zawsze stawał w hotelu u Holzmana. Raz było to 16 kwietnia 1817 roku, mając do niego pilny interes, przyjechał do Jaworza i jak zwykle stanął w hotelu „Pod Złotym Lwem." Żona Holzmana oświadczyła gościowi, że gospodarza niema w domu i że nie wie, kiedy powróci, ponieważ wyjechał z miasta za interesami. Kuntzenberg postanowił jednak czekać na jego powrót. Wieczorem udał się na spoczynek i wkrótce zasnął snem ciężkim. Nagle o północy czuje, że z niego ktoś ściągą kołdrę i budzi trącając po ramieniu. Otwiera oczy, przypatruje się pilniej i zaledwie sam oczom własnym wierzy... Przed nim stoi sam Holzmann, blady, okryty prześcieradłem; na piersi ma głęboką ranę i cały krwią zbroczony. Kuntzenberg krzyknął mimowolnie, ale widmo zatkawszy mu usta, ręką, rzekło: „Nie krzycz i nie budź nikogo w domu; żona moja powiedziała ci, że ja wyjechałem za interesami, to nieprawda. Ona zabiła mnie nożem i żeby zbrodnię zataić, schowała moje ciało pod kupą śmieci na podwórzu. Oddaj zwłoki moje ziemi, a jeśli to spełnisz, bądź przekonany, że nie pozostanę ci dłużnym." Tu widmo zniknęło.

Kuntzenberg przez długi czas nie mógł przyjść do siebie, ale po ochłonięciu z wrażenia był przekonany, że to widzenie własnej natężonej wyobraźni. Rano wyszedł na spacer, chciał zajść do burmistrza i opowiedzieć mu swoje widzenie, ale wahał się, nie będąc pewnym, czy to nie był sen przykry. Wróciwszy do traktyerni, gdy ujrzał Holzmanową najspokojniej krzątającą się około gospodarstwa, tem więcej był przekonany, że owo widziadło — to tylko senne przywidzenie. Ponieważ Holzman do wieczora nie powrócił, Kuntzenberg położył się spać i zasnął. O północy znów go ktoś budzi. Przetarłszy oczy, ujrzał Holzmana tak samo, jak nocy poprzedniej, ale z surowszem obliczem.

— Nie usłuchałeś mnie — rzekło widmo — a ja ci mówię prawdę, żem został przez żonę zabity. Oznajmij o tem policyi i pogrzeb moje ciało. Jeśli tego nie dopełnisz, biada tobie! Jeśli to uczynisz, ja na podziękowanie przepowiem ci godzinę twej śmierci.

Kuntzenberg zerwał się z pościeli; widmo znikło. Nie mógł już zasnąć. Wyszedł na miasto i błądził po ulicach do rana.

Ja wówczas mieszkałem za rogatkami — mówił dalej kapitan — i byłem rano w ogródku, gdy wbiegł do mnie Kuntzenberg przestraszony i opowiadał mi swoje zdarzenie.

Poszliśmy natychmiast do burmistrza, który na razie był oburzony, że zawracamy mu głowę snami, ale gdym mu zaczął dowodzić, że jego obowiązkiem jest przynajmniej zapytać o przyczynę nieobecności Holzmana, pod jakimkolwiek pozorem, a nawet, że może polecić wywieźć śmiecie z podwórza pod pozorem czystości; po długiem naleganiu burmistrz zgodził się pójść do domu Holzmana. Gospodyni nie było w domu — wyszła na targ. Policyanci zaczęli rozgrzebywać kupę śmieci i wkrótce ujrzeli okrwawionego trupa w takiej postaci, w jakiej go w nocy widział Kunztenberg.

Ciało pochowano na cmentarzu, Holzmanową aresztowano, ale z powodu śledzwa Kunzenberg, jeszcze raz zmuszony był zanocować w tym domu, by nazajutrz stanąć do protokułu.

Zaledwie zasnął, budzi go widmo i mówi: Dziękuję ci za dobry uczynek. Wiedz, że umrzesz od dziś za rok, o godzinie 12 w nocy. Gotuj się na śmierć

Struchlały Kuntzenberg rano opowiewiedział mi nowe widzenie. Cały ten rok przepędziłem razem z nim. Usunął się od ludzi i zabaw, ale ponieważ był zdrów zupełnie, sądziliśmy, że przepowiednia się nie ziści. On sam nawet powoli zaczął zapominać o fatalnym terminie. Gdy nadszedł 18 kwietnia, zaprosiłem Kuntzenberga do siebie i wielu przyjaciół, aby nie rozstawać się z nim i przebyć razem północ. Do owej godziny 12 widzieliśmy go zupełnie zdrowym i zajmowaliśmy się nim troskliwie, byleby ten czas nareszcie minął. Wskazówki zegara zbliżyły się do godziny 12, podano szampańskie, wypiliśmy za ocalenie przyjaciela i odprowadziliśmy go do mieszkania, żegnając powinszowaniami.

W domu Kuntzenberg, rozbierając się, posłyszał jakiś szelest w gabinecie. Zapalił świecę, otworzył drzwi do gabinetu, a wtem rozległ się strzał. Służący, przybiegłszy ujrzał Kuntzenberga leżącego na podłodze bez życia i uciekającego oknem złodzieja, w którym poznał swego jeńca francuskiego. Zegar bił godzinę dwunastą...

Mój zegarek śpieszył się o kilkanaście minut!

Bukiety Stelli.

I.

Anglik sir John Halifax, jest jednym z tych rzadkich dziwaków, którzy obok wielkiej ekscentryczności i milionowej fortuny, posiadają tkliwe serce i wiele szlachetności.

Zwiedzając pewnego dnia pracownię znakomitego weneckiego malarza Mariani, sir John zwrócił uwagę na szkic, przedstawiający głowę Rzymianki niepospolitej piękności; był to najdokładniejszy typ słynnej z wdzięków transteweryńskiej rasy.

— Czy to fantazya, czy też portret? zapytał artysty.

— Portret, odrzekł Mariani; jest to znana wszystkim malarzom w Rzymie Stella, transteweranka, służąca zwykle za model w pracowniach. Portret ten naszkicowałem podczas mojej ostatniej bytności w Rzymie; mam bowiem zamiar malować obraz, w którym chcę umieścić tę głowę.

— Z góry zamawiam obraz, ale z warunkiem, że wykonaniem jego zajmiesz się pan natychmiast, i że dla większego podobieństwa, głowę Stelli zrobisz nie z tego szkicu, ale z natury.

— Ależ Stella mieszka w Rzymie, a nie w Wenecyi.

— Więc pan ją tu sprowadź, za podróż i posiedzenia zapłacę.

— W takim razie przystaję. Stella ma tu krewnych i pewno z chęcią ich odwiedzi. Ale kogo by po nią posłać?

— Mam z sobą starego strzelca, sługę nieposzlakowanej wierności i nadzwyczaj ściśle spełniającego wszystkie dane mu zlecenia. Zapewniam pana, iż potrafi sprowadzić do Wenecyi tę Rzymiankę.

I sir John zawołał: Wiljam!

Wiljam ukazał się, jak automat, poruszony niewidzialną sprężyną. Sir John, dając mu list, który wygotował Mariani i spory worek złota, powiedział:

— Pojedziesz do Rzymu.

— *Yes sir.*

— Znajdziesz tam młodą osobę, której oto widzisz portret i oddasz jej ten list.

— *Yes sir.*

— Sprowadzisz ją tu. Bez niej nie wracaj,

— *Yes sir.*

II.

W dziesięć dni po tej rozmowie, Stella już pozowała w pracowni malarza Mariani. Jakim sposobem udało się Wiljamowi sprowadzić ją do Wenecyi, to nazawsze pozostało tajemnicą.

Gdy sir John ujrzał Stellę, jego zachwycenie i uwielbienie granic nie miało; całe dnie przesiadywał w pracowni Marianiego.

Stella zamieszkała u swej ciotecznej siostry, Teresy, pięknej Wenecyanki, utrzymującej się ze sprzedaży kwiatów.

Sir John kupował u Teresy całe snopy kwiatów dla Stelli, a za każdym razem kwiaciarka przypinała mu do surduta jeden świeży jaskier, symbol swej ciotecznej siostry.

— Na drugi dzień po przybyciu Stelli, Halifax miał następną ze swym strzelcem rozmowę:

— Codzień kupisz u Teresy jeden bukiet za dwadzieścia franków.

— *Yes sir.*

— I pójdziesz z nim do pracowni pana Mariani.

— *Yes sir.*

— Tam będziesz czekał przybycia Stelli.

— *Yes sir.*

— I wręczysz jej bukiet.

— *Yes sir.*

Stella miała pozostać dla obrazu przez cały miesiąc. Można więc sobie wyobrazić ile kwiatów uzbierała.

III.

Gdy obraz został ukończony, sir John wszedł pewnego poranku do malarza i powiedział mu z największą powagą:

— Płacę za to malowidlo, ale zarazem chciałbym kupić i model.

— Kupić Stellę! zawołał Mariani; ależ nie jesteśmy w Indyi ani w Afryce; zepewne wiadomo panu, że we Włoszech kobiety nie sprzedają się, i jeżeli pan nie jesteś bezżenny...

— Właśnie jestem nim; a przekonałem się, iż nie mogę żyć nie widząc Stelli. Wiem, iż nie ma majątku i utrzymuje się pozując w pracowniach artystów... ile, jak pan myślisz, mam jej zapłacić za to, by pojechała ze mną do Londynu? Może tam prowadzić życie jakie jej się podoba; pieniędzy jej nie zabraknie; ja chcę tylko, by mi pozwoliła patrzeć na siebie codziennie, tak jak patrzyłem dotąd.

— To coś bardzo po rycersku; w każdym razie nadzwyczaj oryginalnie. Zresztą radzę panu, byś sam zrobił tę propozycyę Stelli.

— Ha! muszę odważyć się, rzekł wzdychając Anglik, chociaż czuję, iż gdy mi Stella odmówi, w łeb sobie strzelę przed jej portretem.

IV.

Dwa dni sir John namyślał się i redagował list do Stelli.

Na trzeci dzień przywołał swego strzelca i tak się z nim rozmówił:

— Wiljamie! słuchaj mnie z uwagą.

— *Yes sir.*

— Kupisz bukiet dziesięć razy piękniejszy od poprzednich.

— *Yes sir.*

— I oddasz do rąk samej Stelli, wraz z tym listem i pugilaresem.

— *Yes sir.*

— Pamiętaj, byś nie wracał bez odpowiedzi — i to na piśmie.

— *Yes sir!*

V.

W kwadrans potem Wiljam był u Stelli, która wyszła była z domu ze swą siostrą. Siedm godzin, to jest do samego wieczora, wierny sługa stał przy jej drzwiach jak szyldwach.

Gdy Stella powróciła, Wiljam poszedł w ślad za nią po schodach i wręczył bukiet, list i pugilares.

List zawierał propozycyę, by Rzymianka przeniosła się z sir John'em do Londynu i przysięgę strzelenia sobie w łeb po upływie dwóch dni, w razie odmowy.

W pugilaresie znajdowało się ośm tysięcy funtów szterlingów.

Stella zatrzymała bukiet i list, a pugilares oddała Wiljamowi, który wtedy przemówił:

— Czekam na odpowiedź na piśmie.

I usiadł spokojnie na schodach. Stella myślała, że odszedł.

Ale kładąc się spać, ona i krewni posłyszeli wielki hałas przy drzwiach i zdjęci ciekawością wyjrzeli do sieni.

Mieszkańcy tegoż samego domu, widząc nieznajomego człowieka, siedzącego na schodach w nocy, zamierzyli wypędzić go na ulicę. Wiljam opierał się jak Herkules i już powalił czterech napastników. Na wszystkie uwagi, prośby i groźby, odpowiadał stanowczo z zimną krwią:

— *Yes*, jak otrzymam odpowiedź na piśmie.

Stella mniemała, iż albo Anglik ustąpi, albo też mieszkańcy domu zostawią go w spokoju. Ale Teresa, użaliwszy się nad strzelcem, który po mężnym odporze owinął się w płaszcz i usiadł znowu spokojnie na schodach, zapytała go, czy nie jest głodny.

— O *yes,* odpowiedział natychmiast Wiljam.

Więc przyniosła mu kawał pieczeni, owoców, sera, wódki, chleba i butelkę wina; po kilku chwilach pozostały z tego tylko kości i szkło. Wiljam podjadłszy zawinął się w płaszcz i zachrapał w najlepsze.

Na drugi dzień Stella znalazła go znowu przy drzwiach z pugilaresem w ręku i powtarzającego:

— Odpowiedź na piśmie.

Ale dumna dziewica postanowiła nic nie odpowiadać, — wyszła więc milcząc do kościoła.

Powróciwszy ztamtąd, przekonała się, że Wiljam stał ciągle na swojem miejscu, trzymając w jednej ręce pugilares, a drugą wyciągając po list.

Na szczęście Teresa, przez pamięć na dwudziestofrankowe bukiety, dała znowu jeść oblegającemu. Wiljam, pokrzepiwszy siły, widocznie przygotowywał się do dalszej blokady.

Tak przeszedł dzień i znowu nadeszła noc; sąsiedzi znowu przybyli na odsiecz i znowu zostali odparci.

VI.

Na trzeci dzień Stella z przerażeniem przypomniała sobie o dopisku do listu sir John'a.

„Jeżeli za dwa dni nie otrzymam odpowiedzi — w łeb sobie strzelę.“

Pobiegła więc w tejże chwili do Wiljama i zapytała go niespokojnie:

— Czyżby twój pan wypełnił tę groźbę?

— Oh, *yes*, odrzekł strzelec, trzymając ciągle pugilares w ręku.

Stella drgnęła. Po walce wewnętrznej, która widocznie odbiła się w jej pięknych rysach, powróciła do siebie, schwyciła pióro i napisała naprędce:

„Przychodź pan — nie umieraj!“

Potem wziąwszy od Wiljama pugilares i wręczywszy mu list, pobiegła do swego pokoiku. Tam uklękła przed Madonną, błagając o natchnienie, jak ma postąpić.

Tymczasem strzelec znikł, raz jeszcze powiedziawszy *yes*.

Znalazł sir John'a odwodzącego kurek pistoletu przed portretem Stelli.

VII.

W pół godziny potem Anglik, wchodził do młodej Rzymianki. Stella, ujrzawszy go, nie mogła ukryć swej radości — tak się obawiała, by list jej nie przyszedł za późno.

Sir John był blady jak trup i zaledwie miał siłę uścisnąć rękę młodej dziewczyny, potem siadł, wymówiwszy tylko jeden wyraz:

— Dziękuję.

Ale po kilku chwilach wypoczynku, pewniejszym już głosem zapytał:

— Kiedyż pojedziemy do Londynu?

— Przejdźmy się pierwej po Wenecyi, odrzekła na to Stella. Pan zamierzałeś umrzeć; otóż chcę mu pokazać jak jego życie jest drogiem. Nie znamy dotąd jedno drugiego; za godzinę mam nadzieję, iż poznamy się bliżej.

Sir John poszedł za Rzymianką, chociaż słów jej niezrozumiał; ale poszedł by za nią na koniec świata.

Naprzód Stella i Teresa, wspólniczka jej zamiarów, zaprowadziły go do pobliskiej uliczki, przed framugę w murze wykutą, w której znajdował się posąg Bogarodzicy. W ręku tak Maryi Panny jak i boskiego Niemowlęcia były wielkie bukiety.

— Czy pan poznajesz te kwiaty? zapytała Stella sir John'a.

Anglik spojrzał na nią zdziwiony.

— Są to dwa pierwsze bukiety, które od pana otrzymałam. Zwiędły one, to prawda, ale są zawsze w opiece królowej aniołów... A teraz przekonaj się pan, że i te pieniądze, któreś codziennie wydawał na kwiaty dla mnie, także nie zginęły marnie.

Od posągu Madonny zawrócili w ciasną i brudną uliczkę. Tam weszli do jednego ogromnego domu; a gdy im drzwi otworzono, znaleźli się w niewielkim pokoiku, w którym na skromnem łóżku leżała młoda kobieta z małem dziecięciem.

— Ci nieszczęśliwi przed miesiącem mieli tylko słomę za posłanie, rzekła Stella; łóżko, które pan widzisz, kupione jest za jego pieniądze; odprzedawałyśmy z siostrą bukiety, przez pana przysyłane.

Chora matka niemowlęcia ucałowała i skropiła łzami rękę Anglika, któremu rownież łzy w oczach stanęły.

— Chodźmy dalej, powiedziała znowu Stella; wszak pan przysłałeś mi ze sto bukietów...

I ze wszystkich zrobiłaś tak święty użytek!...

— I stu nieszczęśliwych błogosławi go.

Przechadzka długo trwała. Kolejno zwiedzano chorych robotników, słabych starcy, opuszczone dzieci, wdowy bez środków do życia, słowem wszelaką nędzę, w którą tak obfitują wielkie miasta, a wszędzie spotykały ich dziękczynienia i gorące łzy wdzięczności.

Sir John był wzruszony i zdumiony; Stella wydała mu się aniołem.

— Szukałeś pan szczęścia, rozkoszy, mówiła mu młoda Rzymianka; dziś jestem dumną, z tego, iż wskazuję mu ku temu drogę. Ale nie na tem koniec: wróćmy do domu.

VIII.

Przyszedłszy do pomieszkania Teresy, Stella wyjęła z szafy pugilares sir John'a i ostatni otrzymany od niego bukiet.

— Ten bukiet zachowam na pamiątkę, jeżeli pan potwierdzisz użytek, jaki zrobię z jego pieniędzy.

Sir John, nie był już panem siebie Upadł on na kolana, błagając młodą Rzymiankę o przebaczenie za to, że jej nie pojął, że odważył się czynić propozycye niezgodne z jej szlachetnemi uczuciami; w końcu zaklinał ją, by przyjęła jego rękę, imię i serce.

— Małżeństwo! rzekła Stella uśmiechając się i podnosząc sir John'a, właśnie o małżeństwie chciałam mu mówić. Chciej pan pójść za mną...

IX.

I zaprowadziła go o jedno piętro wyżej, do pokoiku, w którym oczom sir John'a przedstawił się następujący obraz:

Znajdowały się tu trzy osoby: podeszła w latach kobieta, młodzieniec i młodziutka dziewczyna. Stara matka zdawała się upadać pod ciężarem smutku Młodzi pocieszali ją jak mogli, chociaż sami mieli pełne łez oczy. A byli w kwiecie wieku, piękni i oboje jakby do siebie stworzeni. Dziewczyna podobna była z rysów do Teresy; chłopiec miał twarz ogorzałą, czarne oczy i takież włosy, obficie spadające na ramiona, a ubiór rybacki wybornie przypadał do jego muskularnych i kształtnych członków.

— Przedstawiam panu, rzekła Stella z powagą, moją ciotkę, siostrę cioteczną i jej narzeczonego. Gdyby Józefa i Mario mogli pobrać się, byłoby to najszczęśliwsze stadło w całej Wenecyi. Ale ojciec Maria nie przystaje na to, jak tylko pod warunkiem, iż narzeczona wniesie w posagu trzy gondole, które kosztują dziesięć tysięcy franków. Moja ciotka i Józefa nie mogą nawet marzyć o tak wielkiej sumie. Więc Mario postanowił szukać pieniędzy choćby na końcu świata. Jutro odpływa do Kalifornii. W drodze będzie majtkiem, na miejscu górnikiem — i umrze, albo zdobędzie dziesięć tysięcy franków. Jeżeli umrze, siostra moja nie przeżyje go... Czy chcesz pan, bym ich uratowała. Daj im dziesięć tysięcy franków... pozostanie panu z tego co tu jest w pugilaresie, jeszcze sto dziewięćdziesiąt tysięcy... i moja wieczna wdzięczność.

To wyrzekłszy, podała pugilares Anglikowi, i skłoniwszy się mu odeszła.

— Ale ciebie, ciebie, aniele, zawołał za nią sir John, gdzie będę mógł ujrzeć znowu i kiedy?

— W Rzymie, u mojej matki, którą utrzymuję z tego, co sama zarobię; a kiedy?... oto wtedy, gdy się pan nauczysz obracać fortunę, jaką go los obdarzył, na lepsze niż dotąd cele.

I znikła. Sir John oddał cały pugilares Józefie i zatopiony w myślach wyszedł na ulicę.

Powróciwszy do siebie, kazał Wiljamowi przygotować wszystko do drogi i natychmiast opuścił Wenecyę.

X.

Stella powiozła z sobą do Rzymu ostatni bukiet sir John'a i nieprzestawała być modelem nietylko wdzięków, ale i zacności.

Zdaje się jednak, iż wkrótce zaniecha pozowania w pracowniach, gdyż niedawno czytano w rzymskich gazetach:

„Przybył do naszego miasta znany malarz Mariani, jak słychać, wezwany tu, by być świadkiem ślubu bogatego Anglika sir John'a Halifax, który żeni się, ze znaną dobrze artystom Stellą, zwykle nazywaną *perłą Rzymu*.“

W.

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

2) Tłomaczyła P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

ROZDZIAŁ II.

Wiadomo ogólnie, jak okropnem było w Neapolu lato w r. 1884. Wszystkie gazety umieszczały opisy straszliwych tych dni! Cholera szalała w całem mieście i zabierała codziennie setki ofiar! Niedostateczne środki desinfekcyjne, brud, nędza — wszystko to sprzyjało epidemii, a najgorszym z tego był szalony strach, jaki mieszkańców całego miasta ogarnął.

Na ludzi wykształconych wywarło wielki wpływ bezprzykładne bohaterstwo króla Humberta, ale u ludzi z niższych warstw społeczeństwa, przeważało samolubstwo, przesądy i niezmierna obawa śmierci.

Na dowód tego jeden tu przytoczę przykład:

Pewien powszechnie znany i lubiony rybak, młody, ładny chłopak, zapadł, pracując w swej łodzi, na cholerę. Przyjaciele zanieśli go czemprędzej do domu jego matki, ale gdy stara ta wiedźma ujrzała zdaleka idących, domyśliła się, co to znaczy i natychmiast zamknęła na klucz drzwi swego domu.

— Zostawcie go na ulicy! — krzyczała przez okno! — Niewdzięczny łotr! Zarazę chce przynieść swej uczciwej, pracowitej matce! Zostawcie go na ulicy!

Chłopak na szczęście był nieprzytomny. Daremnie usiłowali przyjaciele jego uprosić matkę o przyjecie chorego — stara wzbraniała się stanowczo otworzyć drzwi domu i syn jej skończył rzeczywiście na ulicy!

Upał w mieście był prawie nie do zniesienia, niebo całe płonęło gorącem, a zatoka wyglądała jak zwierciadło.

Lekki słup dymu, unoszący się nad Wezuwiuszem, zwiększał jeszcze wrażenie pożaru, który zdawał się obejmować miasto. Ptaki nawet odzywały się dopiero wieczorem, a w moim ogrodzie śpiewały słowiki dziwnie cicho i nieśmiało!

W porównaniu do piekła w Neapolu żyłem w naszej willi stosunkowo dosyć spokojnie. Wszelkie środki ostrożności w celu niedopuszczenia zarazy do naszego domu, ściśle były przestrzegane, ale pomimo to byłbym wyjechał do innego miasta, gdybym nie był słyszał, że nagła ucieczka najwięcej czasem w takim razie zaszkodzić może. Żona moja zresztą wcale nerwową nie była, a dwuletnia Stella czuła się także zupełnie zdrową i nie lękaliśmy się o nią.

Gwido Ferrari był u nas przez cały ten czas. Żyliśmy z małą liczbą służby — nikomu nie było wolno iść do miasta, jedliśmy tylko potrawy mączne i piliśmy wodę filtrowaną, udawaliśmy się wcześnie na spoczynek i zdrowie służyło nam bardzo dobrze.

Żona moja posiadała prześliczny głos i śpiewała dużo i chętnie, mianowicie wieczorem, gdy Stella już spała.

Gwidon i ja siedzieliśmy wtedy z cygarem na werandzie i słuchaliśmy z zachwytem jej słodkich pieśni, czasem też śpiewał z nią Gwidon, którego równie piękny głos zgadzał się znakomicie z jej sopranem.

I dziś jeszcze słyszę ich śpiew!

Na ciemnem niebie świeci księżyc, jaśminy i mirty upajają nas wonią, a piękne głowy śpiewających, pochylone ku sobie — jedna jasna, druga ciemna, tworzą prześliczny obraz na tle zapadającej nocy. Obiedwie te głowy są mi tysiąc razy droższe, niż moja własna!

Ach, jakie to szczęśliwe były czasy! Lubimy nieraz złudzenie i przeklinamy ludzi szczerych, którzy budzą nas ze snu! A jednak ci są naszymi prawdziwymi przyjaciołami — gdybyśmy im tylko zawsze wierzyć chcieli!

Miesiąc sierpień był najokropniejszym. Cholera rozszerzała się coraz to więcej — ludzie byli na wpół obłąkani ze strachu! Niektórzy, mając śmierć przed oczami, rzucali się jak szaleni w wir najdzikszych zabaw — nie pomni, jakie skutki to za sobą pociąga.

W jednej restauracyi zebrało się naprzykład ośmiu młodych ludzi i tyleż dziewcząt. Jedzono i pito całą noc — nad ranem wniósł jeden z młodzieńców kielich i wypił na zdrowie cholery. Toast ten przyjęto z prawdziwym zapałem, a kilka godzin później wili się wszyscy w najokropniejszych bólach i nad wieczorem wieziono ich do wspólnego dołu....

Takie sceny powtarzały się codziennie — nam jednak służyło zdrowie jak najlepiej. Nasza ukochana Stella opromieniała nam życie, jej szczebiot rozweselał nas i nieraz zapominaliśmy zupełnie o niebezpieczeństwie, jakie nas otaczało! —

Pewnego dnia, gdy gorąco dochodziło do niemożliwego prawie stopnia, obudziłem się rychlej niż zwykle. Nadzieja, że teraz cokolwiek chociaż może być chłodniej, zachęciła mnie do wstania i wyjścia do ogrodu. Moja żona spała jeszcze mocno. Ubrałem się cicho i ostrożnie, aby jej nie budzić, i już zamierzałem otwierać drzwi, gdy mimowolnie raz jeszcze na nią spojrzałem.

Jaka ona była piękna! Lekki uśmiech igrał na ustach a mnie serce mocniej zaczęło uderzać. Trzy lata już była moją — kochałem ją teraz zaś więcej, niż dawniej! Zbliżyłem się do niej, podniosłem jeden z złotych kędziorków i przycisnąłem go do ust — potem wyszedłem, nie przeczuwając, co mnie czeka.

W ogrodzie rzeczywiście było trochę chłodniej.

Zajęty myślami o Platonie, którego dzieła teraz właśnie studyowałem, szedłem coraz dalej i nareszcie znalazłem się za ogrodem, na mało używanej ścieżce, wiodącej do portu.

Zdaleka widniały białe żagle okrętów po nad ciemną zielenią drzew, i teraz dopiero spostrzegłem, jak znacznie się od domu oddaliłem. Obróciłem się natychmiast, aby wracać spiesznie, gdy nagle usłyszałem ciche jęki w zaroślach. Pobiegłem tam i ujrzałem chłopca, małego sprzedawacza owocu, leżącego twarzą ku ziemi. Przy nim stał kosz, napełniony brzoskwiniami i melonami — ogromnie niebezpiecznemi w tym czasie owocami.

Dotknąłem jego ramienia.

— Co ci jest mój chłopcze? — zapytałem.

Biedny chłopiec podniósł głowę i spojrzał na mnie z rozpaczą.

— Cholera, panie hrabio, — jęknął — cholera! Uciekaj pan, na miłość Bozką, ja — umieram!

Zawahałem się na chwilę. Nie miałem strachu o siebie, ale o Ninę i Stellę! Ze względu na nie, nie mogłem się narażać na niebezpieczeństwo. Czy miałem jednak zostawić tutaj biednego chłopca bez wszelkiej pomocy, czy nie było moim obowiązkiem ratować go?

Postanowiłem iść do portu i postarać się o pomoc lekarską.

— Odwagi, mój chłopcze, odwagi, — zawołałem serdecznie. — Nie każda choroba jest cholerą! Zostań tutaj, biegnę po doktora i wrócę z nim wkrótce.

Malec spojrzał na mnie z nieopisaną wdzięcznością, próbował uśmiechnąć się i chciał przemówić, ale nie mógł. Potem przycisnął znowu twarz do chłodnej trawy i wił się w strasznych boleściach.

Ja biegłem ile mi sił starczyło do portu. Zdyszany, zmęczony przybyłem tam nareszcie i wołałem głośno o doktora. Ale nikt nie chciał iść po niego, nikt się z miejsca nie ruszał. Poszedłem wię dalej i nareszcie spotkałem jakiegoś lekarza.

I ten jednak odmówił mej prośbie.

— Zapukaj pan lepiej do klasztoru mnichów, — rzekł, — aby poszli po jego ciało! On już pewnie nie żyje!

— Jakto, — zawołałem oburzony, — więc pan nie chcesz nawet spróbować ocalenia go?

Doktor uśmiechnął się.

— Wybacz pan, — rzekł, — ale moje zdrowie jest mi też miłem! Żegnam pana!

I odszedł.

Zapomniałem o niebezpieczeństwie, grożącem mi w tem mieście, przepełnionem chorymi, i szedłem dalej, nie wiedząc właściwie, jak sobie poradzić. Nagle dał się słyszeć tuż przy mnie miły i wdzięczny głos:

— Szukam pomocy mój synu?

Podniosłem głowę.

Koło mnie stał wysoki mnich, z twarzą na pół zakrytą kapiszonem habitu, jeden z tych bohaterów, którzy dla miłości Chrystusa każdemu spieszyli z pomocą i zarazie śmiało w oczy patrzyli. Ukłoniłem się z najwyższym szacunkiem i powiedziałem, o co chodzi.

— Idę zaraz z tobą, odrzekł z litością, ale obawiam się, że przyjdziemy za późno. Lekarstwo mam przy sobie na wszelki wypadek!

Wyszedłszy z portu odezwał się mnich znowu:

— Nie mieszkasz w Neapolu?

Wymieniłem mu moje nazwisko, które znał z słyszenia, i opisałem mu położenie naszej willi.

— Na wzgórzu tem, dodałem, cieszymy się najlepszem zdrowiem, i nie rozumiem, jak można się tak okropnie lękać tej choroby. Strach szkodzi tylko i wywołuje chorobę!

— Tak, ale to inaczej być nie może. Lud chce się bawić i przywiązuje tylko serce do ziemskich rzeczy.

Smierci boi się każdy, jak dziecko ciemnej nocy, religia nie daje nikomu ani pociechy, ani podpory, dokończył z westchnieniem!

— A wy, mój ojcze, zacząłem, i nagle — uczułem straszny ból!

— Ja jestem sługą Chrystusa, odrzekł poważnie. Zaraza nie przeraża mnie wcale! Jestem grzeszny człowiek i niegodny łaski Boskiej, ale dla Pana jestem gotów umierać każdej chwili!

Mówił on spokojnie, bez żadnej zarozumiałości, a ja patrzałem z podziwem na niego i chciałem odpowiedzieć, gdy doznałem takiego zawrotu głowy, że musiałem schwycić jego ramię, aby się oprzeć! Cała ulica obracała się — wszystko tańczyło mi przed oczami. Ale słabość ta przeszła wnet i jak z niezmiernej odległości usłyszałem teraz głos mnicha, pytającego troskliwie, jak się czuję.

Przymusiłem się do uśmiechu.

— To zapewne wina gorąca, szepnąłem. Tak mi słabo.. idźcie sami prędzej, ojcze, do chłopca, ja przyjdę za wami— o Boże!

Gwałtowny ból wstrząsnął mojem ciałem. Nogi zaczęły mi wypowiadać posłuszeństwo — i miotany strasznemi kurczami, upadłem na bruk. Mnich jednak podniósł mnie natychmiast i niosąc więcej, niż prowadząc, doszedł ze mną do jakiejś gospody nade drogą. Tu położył mnie na ławkę i przywołał gospodarza, z którym widać znał się dobrze. Pomimo szalonego bólu widziałem i słyszałem wszystko, co się w koło mnie działo.

— Zajmij się Pietro. tym panem mówił mnich. Jest to hrabia Romani, on ci hojnie wynagrodzi. Ja wrócę najpóźniej za godzinę!

— Hrabia Romani! Ale on ma cholerę.

— Głupstwo! zawołał mnich rozgniewany. Jak możesz mówić coś podobnego? Udar słoneczny nie jest cholerą! Czuwaj nad nim, inaczej przyjaźń nasza skończona.

Gospodarz przestraszony, zbliżył się zaraz do mnie i wsunął mi poduszkę pod głowę, podczas kiedy mnich dał mi jakieś krople, które zupełnie mechanicznie wypiłem.

— Zostań tu, mój synu. Jesteś u uczciwych i dobrodusznych ludzi. Ja pospieszę do chłopca i najpóźniej za godzinę będę z powrotem.

Z niezmiernym trudem podniosłem rękę i schwyciłem jego habit.

— Czekajcie, ojcze, szepnąłem, powiedźcie mi najpierw — czy ja mam — cholerę?

— Spodziewam się, że nie, odparł z współczuciem. A chociażbyś ją miał — jesteś dosyć młodym i silnym, aby ją przezwyciężyć!

— Ja się też nie boję, tylko o jedno, proszę was, ojcze! Niech się moja żona o niczem nie dowie, przyrzeknijcie mi to. Gdybym miał stracić przytomność lub umrzeć, to nie każcie mnie za nic w świecie przenosić do mego domu! Nie będę spokojny, zanim nie otrzymam waszego słowa!

— Przyrzekam ci, mój synu, rzekł uroczyście. Życzenia twoje będą spełnione!

Czułem się znacznie spokojniejszym na myśl, że zdrowie mej żony i córki nie będzie zagrożonem. Podziękowałem mnichowi, który zaraz potem wyszedł, i zostałem sam z mojemi fantazyami...

Muszę skreślić obrazy, jakie mi się majaczyły....

Widzę wyraźnie wnętrze skromnego pokoju, w którym leżę. Tam stoi przestraszony gospodarz — czyści on swoje szklanki i kieliszki, patrzy raz po raz na mnie. Przez otwarte drzwi zaglądają jacyś mężczyźni, na mój widok cofają się szybko. Widzę to wszystko — Wiem, gdzie się znajduję, a pomimo to zdaje mi się, że wchodzę na jakąś stromą górę, że śnieg mam na nogach, że w dali huczy grzmot.... Czerwona chmura zakrywa szczyt lodowca — potem dzieli się na dwie części i z środka ukazuje się uśmiechnięta twarzyczka.

— Ach, to Nina, moja żona, moje szczęście!

Wyciągam ku niej ramiona i obejmuję ją.

Nie, to mój gospodarz! Proszę go, aby mnie nie zatrzymywał, ale on mówi:

— Umarł!

Słyszę to i śmieję się. Kto umarł? Przecież nie ja.

Przez otwarte okno wpadają promienie słońca, muchy brzęczą, a tam na ulicy, śpiewa ktoś wesołą piosenkę ludową.

Rozumiem każde słowo. Ach Nino moja, jakże cię kocham! Jak to powiedział Gwidon o tobie? Że jesteś czystą, jak dyament, jak gwiazda na niebie!

Pietro czyści zawsze jeszcze butelki i kieliszki — rozpoznaję wyraźnie jego okrągłą, poczciwą twarz.

Ale zkąd się tutaj wziąłem? Nie mogę tego pojąć. Czyż nie leżę nad brzegiem rzeki, w której krokodyle na mnie czyhają? Widzę ich małe, błyszczące oczy i rozwartą paszczekę! A tam płynie mała łódka, widzę w niej jakiegoś młodego, wysmukłego Indyanina.

Dziwna rzecz, jak on podobny do Gwidona.

Zbliża on się i wyciąga sztylet. Odważny chłopak! Chce śmiało rozpocząć walkę z potworami. Ale on przepływa obok nich — czyż ich nie widzi? I teraz biegnie ku mnie — ach, on mnie szuka — wpycha mi stal w serce i wyciąga ją krwią moją zbroczoną. I znów mnie uderza — potem jeszcze raz i jeszcze raz, a ja żyję Jęczę, krzyczę, znoszę śmiertelne męczarnie, ale ja żyję! Teraz pada cień jakiś koło okna — bronię się, rzucam z rozpaczą.... Dwoje ciemnych oczu patrzy na mnie i głos jakiś mówi:

— Uspokój się mój synie. Poleć Bogu twoją duszę.

Jest to mnich! Przybycie jego cieszy mnie. Wraca on od chłopca.

— Jakże z małym pacyentem? pytam go zaraz.

— Niech odpoczywa w pokoju, umarł.

Tak prędko. Nie mogę tego pojąć. Ale fantazya unosi mnie znowu daleko ztąd.

Co teraz się działo, nie przypominam sobie dokładnie.

Wiem tylko, że cierpiałem okropnie, że słyszałem jakieś modlitwy i śpiewy i głos dzwonka, i że krzyczałem:

— Nie zanoście mnie do mego domu.

Potem rzucono mnie we wodę— podniosłem się, chciałem pływać — ale nademną stał mnich z srebrnym w ręku krzyżem — i przeraźliwym krzykiem wpadłem w jakąś bezdenną przepaść.

ROZDZIAŁ III.

Teraz nastąpiła ciemość, cisza i nieskończoność. Wpadłem w przepaść największego zapomnienia — potem, zwolna zaczęły się ukazywać jakieś niewyraźne obrazy.... Dziwne skrzydlate stworzenia unosiły się nademną, jasne oczy patrzały na mnie, a białe, kościste palce podnosiły się, grożąc mi... Jakiś ciężar przytłaczał mnie — obracałem się na wszystkie strony, ale ciężaru tego pozbyć się nie mogłem!

A jednak nie poddawałem się, nie zaprzestawałem walki, posuwałem się wolno naprzód — jeszcze jedno pchnięcie i — zwyciężyłem!

Obudziłem się!

Wielki Boże! Gdzież ja byłem! Jakie okropne powietrze! Jaka ciemność!

I teraz, zwolna, zaczęła mi wracać przytomność. Przypomniałem sobie, że byłem chory — ale gdzie był mnich i Pietro?

Co oni ze mną zrobili?

Leżałem na wznak, na twardem posłaniu — czemu nie dali mi poduszki pod głowę? Członki bolały mnie okropnie, i oddychać nie mogłem. Czemu?

Bo nie miałem powietrza! Wyciągnąłem rękę, podniosłem ją, i uderzyłem o coś twardego. I teraz....

Teraz poznałem prawdę!

Byłem żywcem pochowany!

Leżałem w trumnie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

14) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Sagunta zapaliła latarnię i uzbroiła się — tak jak niegdyś ojciec jej, w siekierę.

— Idziesz babko ze mną? spytała.

— Nie mogę! Nie mogę! Przysięgłam, że nigdy tam nie pójdę i przysięgi tej łamać nie mogę. Oszalałabym.

— W takim razie pójdę sama! rzekła Sagunta stanowczo.

— To nie Dymitr! wołała Marta, wierzaj mi, to nie Dymitr. To może kto inny.

— Więc ocalę kogo innego od śmierci.

— Masz słuszność, odezwała się teraz Józefina, i ja pójdę z tobą.

Marta nie opierała się dłużej. Wręczyła Józefinie pęk kluczy, włożyła do koszyka trochę chleba i butelkę mocnego wina oraz inne jakieś orzeźwiające krople, paczkę zapałek i długą linę. Potem dała im jeszcze małą gwizdawkę i pożegnała się z niemi tak,, jak gdyby się wybierały za morze.

— Niech was Bóg ma w swej opiece, mówiła ze łzami, niech was strzeże od złego....

Obie młode kobiety znikły na schodach, w głębokiej ciemności. Blade światło latarni wskazywało im drogę — przez gruzy i trupy.... a duszne, stęchłe powietrze tamowałe im oddech.

Z początku szły obie w milczeniu, każda własnemi zajęta myślami.

— Dawno nikt tędy nie szedł, odezwała się pierwsza Sagunta. Ostatnim był pewnie hrabia Szalenburg, a przed nim, szła tu moja matka — na śmierć....

— Uspokój się, prosiła Józefina. Matce twej dobrze teraz w niebie!

Teraz rozszerzał się nagle ganek i obie doszły do skrętu. Sagunta szła pierwsza, i nagle krzyknęła przerażona.

Tuż przed nią, w poprzek drogi — leżał trup kobiety.

— Moja babka, szepnęła drżącym głosem, stara hrabina Lanowicz!

Setki szczurów, które trupa wygrzebały z ziemi, rozbiegły się przeraźliwym piskiem. Światło latarni spłoszyło je....

— Idźmy dalej, rzekła Józefina, chcąc się pozbyć tego okropnego widoku.

— Nie! Muszę najpierw spełnić mój obowiązek, odpowiedziała cyganka, i włożyć trupa mej babki w ziemię!

Józefina pomogła jej, a że dół był już oddawna przygotowany, przeto robota długo nie trwała.

Po spełnieniu tego miłosiernego uczynku, poszły dalej, i stanęły wkrótce przed schodami, wiodącemi jeszcze na dół, a tak wązkiemi i krętemi, że można było dostać zawrotu głowy samem patrzeniem na nie.

— Stoimy teraz przed zamkowem więzieniem, rzekła Sagunta. Te drzwi prowadzą do lochów podziemnych....

I wskazała na drzwi w głębi, okute w żelazo, ale mocno zadrzewiałe....

Odważne, zeszły na dół krętemi schodami, i za pomocą siekiery otwierały ciężkie drzwi dębowe.

— Słyszysz, szepnęła Sagunta, znowu ten jęk.... biegnijmy, aby nie było za późno.

Za drzwiami rozległ się teraz głośniejszy jęk i Józefina stanęła jak skamieniała.

— Boże, zawołała, ten głos! ten głos!

Więzień usłyszał teraz może szelest jakiś, i przeczuwając zbliżającą się pomoc, zawołał:

— Ratunku! Umieram!

— Maksymilian! krzyknęła Józefina, rzucając się ku drzwiom jak szalona. Mój mąż! Mój mąż!

I silnemi uderzeniami siekiery wyłamały drzwi do reszty.

Teraz wbiegła do sklepu i z okrzykiem najwyższej radości stanęła obok leżącej w kącie postaci.



Teraz wbiegła do sklepu i z okrzykiem najwyższej radości stanęła obok leżącej w kącie postaci....

Postać ta nie podobną już prawie była do człowieka. Zapadnięta twarz, oczy mgłą zaszłe i spieczone usta świadczyły aż nadto wymownie o tem, co się z nim w tym strasznym lochu działo.

Maksymilian był skazany na śmierć głodową, ale przytomność nie opuściła go jeszcze, i ujrzawszy teraz Józefinę przy sobie, szepnął cicho.

— Czy to sen? Czyś to ty, moja żono ukochana? Ach, Bóg wysłuchał mej prośby!

Po tych słowach zemdlał.

— Daj mu wina, zawołała Józefina i obie z Saguntą zajęły się trzeźwieniem zemdlonego.

— Tutaj go znaleść musiałam, szeptała Józefina, jako ofiarę zbrodni, bliskiego okropnej śmierci! Ale teraz nie rozłączymy się już nigdy! Żadna siła ludzka nie zabierze mi ciebie!

— Przedewszystkiem musimy go przenieść do naszej chaty, rzekła Sagunta, ja ci pomogę, ale gdy wyjdziemy ztąd, zamkniemy znowu drzwi, aby nikt nie poznał, że wiodą one do chaty.

— Masz słuszność! Dziękuję ci!

Podróż z powrotem bardzo była uciążliwa. Musiały teraz nieść zemdlonego i siły ich były całkiem wyczerpane, gdy nareszcie stanęły w izbie cyganki.

Józefina drżała z radości na myśl, jak rozkosznem będzie teraz jej życie przy boku ukochanego męża!

Marta nie mogła się dosyć nadziwić, gdy Józefina powiedziała, że to jej mąż.

— Więc to nie Dymitr Lanowicz, mówiła — nie brat Sagunty!

— Nie, to Maksymilian Kronau, mój mąż, moje najwyższe szczęście, mój skarb jedyny, wyjąkała Józefina z płaczem i uklękła przy łóżku, na którem pogrążony w śnie głębokim, leżał nieszczęśliwy Maksymilian.

ROZDZIAŁ XXXI.
Kilka szczęśliwych godzin.

Od tego dnia minęły dwa tygodnie. Ocalony od strasznej śmierci Maksymilian powracał zwolna do zdrowia, pielęgnowany jaknajstaranniej przez obie cyganki i żonę.

Marta, zawsze ostrożna i podejrzliwa, czyniła wszystko co mogła, aby nie zwracać niczyjej uwagi na swoją chatę, ale zauważyła, że Rozdzin często przechodził tędy i raz nawet koniecznie chciał wejść do izby. Nie pozwoliła jednak na to!

Nareszcie nadszedł dzień, w którym Maksymilian mógł wstać, i ta chwila była najszczęśliwszą w życiu dotychczasowem Józefiny. Ale o przyszłości nie było między nimi mowy i zdawało się, że Maksymilian unika żony — nigdy przynajmniej nie powiedział jej czułego słowa, ani nie przycisnął jej do serca.

Raz gdy małżonkowie byli sami w izbie, rzekła Józefina:

— Słuchaj najdroższy, jesteś teraz zdrów, trzeba nam więc jaknajspieszniej uciekać ztąd! Bo możesz wpaść znowu w ręce dziedzica zamku...

— Tak jest! Dziś pożegnam was! Dziś w nocy!

— To znaczy, pożegnasz Martę i Saguntę, ja przecież idę z tobą!

— Ty, ze mną?

— O, Maksymilianie, czy chcesz mnie dłużej jeszcze męczyć? Wszakże jestem twoją żoną i mam prawo towarzyszenia ci wszędzie! O, nie zostawiaj mnie znowu samej! Weź mnie z sobą, ja bez ciebie żyć nie mogę!

I mówiąc to rzuciła mu się w objęcia.

Ale Maksymilian odsunął ją lekko.

— Zobaczę jeszcze — nie wiem, szepnął.

— Dlaczego odpychasz mnie? zawołała Józefina płacząc. Czuję, że pomiędzy nami istnieje jakaś tajemnica, ale ty powinieneś powiedzieć mi całą prawdę! Ja mam prawo do twego zaufania, mam prawo dzielenia twych trosk, i żądam tego, słyszysz?

Maksymilian w okropnem znajdował się położeniu. Z jednej strony ciągnęła go gorąca miłość do żony, z drugiej wiązała go przysięga, dana cesarzowej, której złamać nie chciał pod żadnym warunkiem! Przysiągnął cesarzowej, że przez pięć lat nie zbliży się do Józefiny, a cesarzowa nie zwolniła go z przysięgi!

— Jeżeli chcesz, rzekł drżącym głosem, to powiem ci wszystko, ale potem nie pozostanie mi nic więcej, jak odebrać sobie życie, bo stanę się wiarołomnym nędznikiem!

— O Boże! Ja tego nie rozumiem! Ale nie chcę już nic wiedzieć, wolę już być nieszczęśliwą, wolę cierpieć, bylebyś ty żył, mężu najdroższy!

— Dziękuję ci. Ale teraz muszę ci powiedzieć, że Rozdzin widział mnie dzisiaj! Trzeba nam czemprędzej uciekać!....

— Jesteśmy zgubieni! Ten łotr zdradzi cię!

— Nie, bo nie będę na to czekał. Z początkiem nocy opuścimy chatę. Nie zabieramy kufrów ze sobą, dodał z smutnym uśmiechem, i zupełnie z niczem musimy nowe rozpocząć życie.

— I nie lękasz się przyszłości? Ale prawda, twój głos piękny....

— Mój głos? Straciłem go — wczoraj przekonałem się o tem. Jest to cios okropny — nie pozostanie mi teraz nic więcej, jak pracować jako zwyczajny robotnik!

— Ty, pracować ciężko... twemi delikatnemi rękami? Po przebyciu tak ciężkiej choroby? Nigdy!

— Człowiek wiele znosić musi. A ja mam dużo wytrwałości i energii!

Teraz wróciła Marta z Saguntą i rozmowa skończyła się....

Po obiedzie powiedziała Józefina starej cygance o zamiarze ich opuszczenia dziś w nocy chaty, i nadmieniła, że Rozdzin wyszpiegował już jej męża.

— O, ten stary wilk, szepnęła Marta. Niech się tylko zanadto nie zbliża! Mam ja z nim niejedno jeszcze do załatwienia.

— Bądźcie tylko ostrożną! Sagunta zostaje u nas.

— Ach, na nią liczyć nie mogę, ona znowu pójdzie w świat! Cygańska krew! Przyznała mi się zresztą, że kocha pewnego cygana, którego dziwne spotkało szczęście! Cesarzowa Elżbieta posłała go do Paryża i każe go kształcić w grze na skrzypcach. Sagunta więc wpadła teraz na nieszczęśliwą myśl — chce iść także do Paryża, do swego Riga....

— Jeżeli go kocha — to nie zatrzymujcie jej! A jeżeli on jej już nie kocha? Jeżeli zapomniał o niej? Ale ona mnie nie usłucha i pójdzie! Ty zaś mogłabyś doprawdy pozostać u mnie, masz tu przynajmniej dach nad głową. Twój mąż ma jakąś tajemnicę....

— Tak, tak, i ja daremnie się męczę nad wykryciem jej! Wiem, że on mnie kocha, a jednak ucieka przedemną i nie chce mi prawdy powiedzieć.

— A więc nie żądaj tego od niego! Musi mieć ważne do milczenia powody! Czas wszystko wyjaśni!

Z nadejściem nocy pożegnali Maksymilian i Józefina starą cygankę, podziękowali jej serdecznie za wszystko dobre, jakie od niej doznali, i poszli w świat, nie wiedząc dokąd ich losy zaprowadzą!

Przedewszystkiem chcieli iść do Krakowa i poszukać tam jakiej roboty. W Granicy miał być nad ranem krótki odpoczynek, a potem dalsza wędrówka do miasta.

Noc była jasna, cicha, niezbyt zimna, i Józefina oparta na ramieniu ukochanego męża, czuła się nadwyraz szczęśliwą. Nie pytała go już o nic, wiedziała, że jest kochaną i to jej wystarczało.

W Granicy stanęli nad ranem i weszli do tego hotelu i do tego nawet pokoju, w którym niedawno siedział Karol Frascati z piękną księżną Dianą.

— Oprzyj się wygodnie na kanapie, — mówił Maksymilian — i prześpij się trochę. Ja tymczasem zapytam gospodarza o drogę do Krakowa. Nie znam jej bowiem wcale.

Józefina, uszczęśliwiona jego troskliwością, oparła głowę o poduszkę, i spojrzała na niego z wdzięcznym uśmiechem.

— Jestem doprawdy strasznie zmęczona, — szepnęła, — ale ty wrócisz zaraz, nieprawdaż?

— Tak! — odrzekł, odwracając się.

Po upływie kilku minut spała młoda kobieta snem prawdziwie kamiennym. Maksymilian zaś siedział w przyległym pokoju i — pisał.

— Tak być musi, — rzekł sam do siebie. — Im prędzej, tem lepiej! Bądź co bądź przysięgi dotrzymać muszę!

I szybko następujące napisał słowa:

„Najdroższa moja żono!

— Gdy się obudzisz, nie będę już przy tobie — i zrozumiesz wtenczas, że w najcięższej godzinie mego życia wyrzekłem się szczęścia zatrzymania cię przy sobie. Wybacz mi, ukochana, wiedz jednak, że jestem zmuszony do takiego postępowania! Walczyłem długo z mem sercem, ale dzięki Bogu — zwyciężyłem moją miłość! Wytrwaj Józefino w twem zaufaniu i miłości dla mnie, przyjdzie czas, w którym będzie nam wolno należeć do siebie, i wtedy powiem ci wszystko! Bądź zdrowa! — Maksymilian.“

Po napisaniu tego listu, złożył go starannie, i zaadresował:

— Do Józefiny Hilbert — obecnie w Granicy. —

Nie wiedział on, że żona jego przybrała nazwisko Neipert.

Potem zapłacił gospodarzowi pięć guldenów za posiłek i pokój, i prosił go o wręczenie listu Józefinie.

— Czy pan już tu nie wróci? — zapytał hotelista.

— Wątpię, mam dużo zajęcia w Krakowie. Pani Hilbert pojedzie zapewne do Wiednia, poradź jej pan, który pociąg najlepszy. Może być zresztą, że i ona uda się do Krakowa.

Maksymilian przeliczył szybko swoje pieniądze i mając ze wszystkiem sto trzydzieści guldenów, włożył sto w list do Józefiny i zapieczętowany oddał gospodarzowi.

— A teraz każ pan zaprządz sanki. Muszę dojechać do pierwszej stacyi kolejowej.

Gospodarz położył list na kominek i wyszedł, kilka minut później wyjeżdżał Maksymilian z podwórza, uciekając od tej, którą nad życie kochał.

Józefina spała i uśmiechała się we śnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dzisiejszy numer jest **ostatnim** w bieżącym kwartale, więc czas największy zapisać

„PRACĘ“ na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jes *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu d przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 mrk. 25 fen.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: Abtheilung II t. poln. Nr. 95.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie, winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z *Poznania.*

Początek drukującej się bardzo zajmującej powieści p. t.

„Męczennica w koronie,“

dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego dwudziestofenygowego.

W zeszłym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie interesującej powieści, osnutej na tle współczesnych stosunków pod tyt.:

„Żywcem pogrzebany,“

która świetną osnową swą i ciekawą treścią zająć musi każdego, nawet najobojętniejszego czytelnika.

Początek tej powieści otrzymają nowo przybyli abonenci bezpłatnie.

Malowniczy opis Wielkopolski

przerwany od dłuższego czasu z powodu licznych procesów, uwięzienia redaktorów, wreszcie uwięzienia wydawcy, rozpoczniemy zamieszczać w dalszym ciągu.

Już w jednym z najbliższych numerów zamieścimy opis

powiatu grodziskiego

z specyalną mapą tegoż powiatu.

Opis wszystkich miast, wsi, wiosek, osad, folwarków powiatu grodziskiego zaopatrzony będzie w liczne illustracye.

Następnie zamieścimy opis powiatu krotoszyńskiego, potem koźmińskiego itd. z specyalnemi mapami tychże powiatów i z licznemi illustracyami.

Jakkolwiek kilku obznajmionych ze sprawą pracowników już od kilku tygodni zajmuje się skwapliwie opracowaniem map i opisami, to jednak zwracamy się do Szanownych Czytelników z uprzejmą prośbą:

aby każdy zechciał nam nadsyłać opisy znajdujących się w miejscu jego zamieszkania pamiątek przeszłości, ruin, historycznych kopców, kościołów, pochodzących z czasów polskich itd.

Na razie chodzi nam o opisy: powiatów grodziskiego, krotoszyńskiego i koźmińskiego.

Czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abtheilung II t poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fenygów.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 32 hal.

W 23-im zeszycie rozpoczęliśmy druk pięknej powieści, osnutej na tle ostatniej wojny francuzko-niemieckiej p. t. „Krzyż lotaryngski.“

W 24-ym zeszycie rozpoczęliśmy druk nowej, bardzo interesującej powieści p. t.:

„Kochanka,“

która bez wątpienia zaciekawi w najwyższym stopniu Szanownych Czytelników.

Początek tych powieści otrzyma każdy nowoprzybyły abonent gratis.

Sądzimy, że zaprowadzone ulepszenia przysporzą *„Czytelni Polskiej“* nowe liczne szeregi zwolenników.

My dajemy ideę, dajemy pomysł, od Was i Waszego poparcia, Czytelnicy, zależy, czy pomysł ten przerodzi się w nową, skuteczną dźwignię polskości.

A więc — czynnego poparcia jak najwięcej!

Numery i zeszyty okazowe wysyłamy na żądanie **bezpłatnie i franko.**

Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią Polską“ zamieszczane są na osobnej karcie.

Do dzisiejszego numeru dołączamy karty pocztowe z uprzejmą prośbą, aby je Szanowni Czytelnicy zużyć zechcieli w celu zjednywania nam nowych abonentów przez rozesłanie tych kart pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Prosimy o rozpowszechnienie „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ wszędzie i na każdym kroku, gdyż tylko w ten sposób możemy dać godną i należytą odprawę „naszym najserdeczniejszym“ i to w takiej chwili, w której grom po gromie pada na nas wszystkich — starych i młodych — na dziatwę naszą, na bogatych i ubogich, na wszystkie strony...

Redaktorzy nasi w więzieniu — cierpią tam fizycznie i moralnie, a wydawnictwo ponosi nadto bardzo wielkie straty materyalne, wobec czego prosimy Czytelników, Przyjaciół i Zwolenników naszych, aby zechcieli zjednywać nam liczne nowe zastępy przedpłacicieli tak na „Pracę“ jak też na „Czytelnię Polską.“

Wiadomości.

— **Baczność!** Już w najbliższym czasie zamieścimy piękny obraz albumowy, reprodukcyą słynnego obrazu mistrza Jana Matejki:

„Bitwę pod Grunwaldem“,

oraz opis bitwy z „Krzyżaków“ Sienkiewicza.

Kto więc dotąd jeszcze „Pracy“ nie zapisał na poczcie na nowy kwartał, niech to uczyni bezzwłocznie, gdyż w przeciwnym razie nie otrzyma w właściwym czasie wzmiankowanego numeru.

— **Polacy w Westfalii i Nadrenii** rozpoczęli już agitacyą w sprawie przyszłorocz-

nych wyborów do parlamentu niemieckiego. Przewodniczący komitetu wyborczego, p. Wojczyński z Gelsenkirchen, wezwał wszystkich członków komitetu głównego, aby mu podali swoje adresy, gdyż w najbliższym czasie odbyć się ma zebranie komitetu, a potem zaraz odbędą się we wszystkich powiatach powiatowe wiece przedwyborcze w celu wyboru komitetów powiatowych i przeprowadzenia organizacyi wyborczej. Wchodzą tu głównie w rachubę następujące okręgi wyborcze: Essen, Bochum - Gelsenkirchen-Hattingen, Dortmund - Hoerde, Mülheim-Duisburg - Ruhort - Oberhausen i Recklinghausen. Wszędzie, jak pisze „Wiarus“, zostanie wcześnie organizacya wyborcza przeprowadzona.

— **Fabryce H. Cegielskiego** na odbytem w dniu 3 b. m. posiedzeniu rady oddziału pokuckiego galicyjskiego Towarzystwa gospodarczego, przyznano najwyższe uznanie, dyplom honorowy, w dziale ogólnym pługów za pracę własnego pługa pojedyńczego samochodu do głębokości órki, oraz dwuskibowców „Rekord“ na konkursie narzędzi rólniczych w Kołomyi, który się odbył w dniach 16 i 17 maja r. b.

— **Malborg** po rozbiorze Polski smutne przechodził koleje, formalnie się nad nim pastwiono. Urządzono tam koszary, potem warsztaty, wreszcie magazyny na zboże, mąkę i sól. Wreszcie starszy rządzca budowlany Gilly postawił wniosek, by cały zamek zburzyć. Wniosek ten został zatwierdzonym. I trzeba było wielkich starań rozmaitych ludzi w Berlinie, uchronić zamek od zupełnej zagłady. Dopiero 15 grudnia 1815 Fryderyk Wilhelm III nakazał odbudowanie zamku. Dnia 3 sierpnia 1817 rozpoczęto roboty, które dopiero teraz zdołano dokończyć.

— **„Wianki.“** Obchodowi dorocznemu „Wianków“ w wigilią św. Jana sprzyjała tym razem pogoda, to też nieprzeliczone tłumy publiczności zaległy oba brzegi Warty pomiędzy Groblą a Miasteczkiem, aby się przypatrzeć temu pięknemu prastaremu obchodowi.

Około godziny 9 wypłynął ze swej przystani parowiec na Wartę, przybrany pięknie w zieleń, lampiony i transparenta, wśród odgłosu muzyki i śpiewu w otoczeniu licznych łodzi zdobnych w zieleń, z których puszczano wianki bez światła w myśl zakazu policyi.

Żywe obrazy przy bengalskiem oświetleniu, sztuczne ognie itd. — wszystko to wywoływało między publicznością entuzyazm i żywe oklaski.

Około godziny 11-ej zakończyła się uroczystość odśpiewaniem pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy.“

— **Mogilno.** Posiadłość Szczepanowo pod Barcinem sprzedał p. Józef Stark z Mogilna w 3 częściach.

Nabywcami są: pp. Andrzej Skaza, Stanisław Krysiak, Wilhelm Lange.

— **W Zakopanem są na sprzedaż** pod korzystnemi warunkami dwie wille. Bliższe informacye podane są w odnośnych inseratach, na które zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

Ruch w Towarzystwach.

— **„Sokół“ poznański** urządza w niedzielę 6 lipca r. b. w parku Wiktoryi **igrzyska sokole**, których program doborowy przewyższa wszystko dotąd bywałe. Dosyć podnieść jako uwagi godne ćwiczenia kobiet, mężczyzn i uczni, nowe reje kolarzy i różne niespodzianki. Znając życzliwość dla „Sokoła“ poznańskiego, mamy nadzieję, że każdy pospieszy na tę zabawę.

— **Srem.** Zabawa latowa „Koła Spiewackiego Polskiego w Sremie“ odbędzie się w niedzielę, dnia 29 bm. w lasku Psarskim (na Wesółku). Początek o godz. 3 po południu. Program wielce urozmaicony.

Życzliwe „Kołu“ Obywatelstwo miasta i okolicy zaprasza najuprzejmiej

Zarząd.

— **Walne zebranie** Towarzystwa organistów pod opieką św. Wojciecha w Inowrocławiu odbędzie się dnia 1 lipca o godzinie 2 po południu w Ochronce w Inowrocławiu.

Porządek obrad:

1. Zagajenie, wybór przewodniczącego, zastępcy, sekretarza i dwóch ławników.
2. Przeczytanie protokółu.
3. Przyjęcie ustaw Związku.
4. Spiew z kancyonału.
5. Odczyt: „O wytrwałości.“
6. Deklamacya: „Do pieśni.“
7. Wnioski.

Przewielebne Duchowieństwo i Szan. PP. kolegów o liczne przybycie niniejszem uprzejmie prosi Zarząd.

— **Magdeburg.** W niedzielę dnia 20-go lipca r. b. obchodzić będzie tutejsze Towarzystwo polsko-katolickie św. Jana Nepomucena uroczystość 10-ej rocznicy założenia swego koncertem, przedstawieniem amatorskiem, deklamacyami, tańcami itd.

Zarząd.

Od Redakcyi.

— *Towarzystwu Młodych Przemysłowców w Stęszewie.* — Odezwa o urządzeniu 25-go jubileuszu założenia Towarzystwa doszła do rąk redakcyi za późno, już po wydrukowaniu numeru 25-go „Pracy“ na dzień 22-go bm., zatem zamieścić jej nie mogliśmy.

— *Panu Michałowi S. w Wągrówcu.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć; o sprawie tej już niejednokrotnie pisaliśmy.

— *Maryi z Poznania.* — Prosimy wystąpić z otwartą przyłbicą — podać nazwisko — a chętnie zamieścimy.

— *N. N. z Poznania* — Listy bez podpisu wrzucamy do kosza wszystkie bez wyjątku, więc i takie, w których ktoś prosi o informacye.

Panu Franciszkowi K. w Frysztacie. — Dziękujemy bardzo. Karykatury świetnie udane i ucieszyły nas bardzo.

Panu St. Pal. w Wrocławiu. — Dziękujemy serdecznie; nadesłany materyał zużyjemy.

Panu J. Müllerowi w Wiedniu — Dziękujemy serdecznie za łaskawie nadesłanie gazety.

Imci ks. Metodemu Miskiewiczowi w Füssen. — Za słowa uznania i zachęty, przesłane wydawcy naszemu, dziękujemy niniejszem w imieniu jego serdecznie.

Kr-mieczowi w Sanoku (Galicya).—W wierszach Pańskich znać wielki wpływ „miłości“, która fantazyą okropnie poruszyła, tak że Pan opisuje rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło. Muza jednakowoż nie zawsze towarzyszy „błogim“ uczuciom“ i tak samo w utworach nam nadesłanych nie widać jej działalności. W każdym razie dla „Pracy“ wiersze te niestósowne, z tego powodu powędrowały do k...a.

Imci Ks. Sz. w U. — Za łaskawą pamięć i nadesłany manuskrypt serdecznie dziękujemy.

Panu Janowi R. w Holthausen. — Za nadesłane wiadomości dziękujemy serdecznie. Prosimy i nadal o nas pamiętać.

HUMORYSTYKA.



Ze świata krytyki.

A. Jakto? Więc sztuka Iksa nie podoba ci się wcale. Przecież sam pisałeś o niej, że wywarła „wrażenie podniosłe.“

B. Bo też tak było istotnie. Publiczność jeszcze przed końcem sztuki podniosła się i... wyszła.

Osobliwe szczęście.

W pewnem biurze, w którem sprawy po kilka lat czekają na załatwienie.

— Panie łaskawy! — błaga interesant — zlituj się, przyśpieszcież moją sprawę! Toż od dwóch lat chodzę napróżno!

— Pańska sprawa? pańska sprawa? Aha, już wiem! Bądź pan jeszcze trochę cierpliwy, niebawem będzie załatwiona. Uważasz pan, stał się wypadek: sprawę pańską referent włożył pod sukno i zapomniał o niej na śmierć.

— Dzięki Bogu! Ale jakim sposobem przypomniano sobie o niej?

— O sprawie nikt byłby sobie nie przypomniał, ale sukno mole zjadły, więc musiano dać nowe. Masz pan szczęście!...

Wyleci!

— Mamusiu, czy to prawda, że aniołki latają?

— Naturalnie, moje dziecko... latają.

— A dlaczego nasza „frajlajn“ nie lata?

— Bo ona nie jest aniołkiem.

— A tatuś mówił do niej wczoraj: „mój aniołku.“

— Tak?... A skoro tak, to i ona wyleci; zobaczysz, jeszcze dzisiaj wyleci...

— Panie stangret, co to tak we dworze cicho — czy dziedzica niema?

— Jaśnie pan pojechał do jakiejś „monaki,“ ma tam bank rozbić...

— Aj waj, aby go nie złapali. Mój szwagier też rozbił bank, to go za to wsadzili do więzienia.

Rodak, obywatel zamożny i powszechnie znany, właściciel znacznych włości tu w Księstwie, poszukuje kupna

majątku

większych obszarów przy zaliczce do 1,000,000 marek w gotówce evtl. i więcej.

Majątek leśny, choćby z młodszym drzewostanem resp. z dobrem polowaniem, ma pierwszeństwo.

W razie reflektowania na ofertę — służy podaniem pełnego nazwiska zlecodawcy

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
ul. Rycerska 38. w Poznaniu. Telefon Nr. 1246.

Od nierodaka jest do nabycia jeden z najpiękniejszych majątków Księstwa

8000 mórg

obszaru incl. 2 tysiące mórg cienistego lasu i 1000 mórg przepysznych łąk. — Ziemia znakomita, drenowana i w wysokiej kulturze; łąki nawodniane, meliorowane; las zwarty, drzewo zdrowe i wysmukłego wzrostu, znaczna część do ścięcia. *Pałac nowo postawiony, obszerny, urządzony z wytwornem komfortem, w pośród prześlicznego, cienistego parku, iście książęca siedziba.* Budynki wspaniałe, zupełnie nowe; stajnia cugowa ctr.; wielka, nowo zbudowana, parowa gorzelnia itd. *Dworzec i szosa, oraz poczta i telefon w miejscu.* Pałac i wszystkie budynki oraz park i podwórze oświetlone elektrycznie; tak samo wszelkie maszyny pp. pędzone za pomocą siły elektrycznej.

Wielkopańska a zarazem donośna majętność ta — jest *do sprzedania jedynie z powodu śmierci właściciela.*

Bliższych informacych udzieli
Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy,
Rycerska 38. **w Poznaniu.** Telefon 1246.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu innego przedsiębiorstwa mam do sprzedania realność w samem centrum Górczyna przy trzech ulicach, obszar wynosi ***3200 kwadr. metr., z domem mieszkalnym, murowanym, o 8-miu pokojach, stajni*** etc. Przy domu jest duży ogród warzywny i owocowy. Realność nadaje się do każdego przedsiębiorstwa i jest ***już przy zaliczce 6000 marek do nabycia.*** Zgłoszenia przyjmuje pod lit. **J. S.** ekspedycya „Pracy.“ Poznań, ulica **Rycerska nr. 38.**

---

* DOM POLSKI *
w Copotach
(ZOPPOT),
Südstr. 71 a. b. c. 72
poleca
na sezon kąpielowy
mieszkania większe i mniejsze oraz pojedyńcze pokoje. 383

Cena pokoju wraz z całodziennem utrzymaniem. począwszy od mk. 5,50 za dobę.

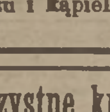
Całodzienne utrzymanie bez mieszkania mk. **4,25. Obiady** w abonamencie po mk. **1,75,** bez abonamentu **2,00.**

Mieszkania bezwarunkowo suche. Położenie nader piękne: tuż nad morzem przy parku, blizko kurhauzu i kąpielni.
* *

Korzystne kupno!

Oberza

z dobrem powodzeniem w mieście powiatowem jest od zaraz lub później do *sprzedania.* 463
Zgłoszenia do admin. „Pracy“ pod *Nr. 90.*



Kamienica

w najlepszem położeniu, przy rynku jest zaraz tanio do *sprzedania.*
W. Cybiński,
KROTOSZYN. 496

Jedynie dla działów familijnych jest od rodaka korzystnie do nabycia uroczo i komunikacyjnie znakomicie położona

wieś rycerska

tuż przy samem mieście powiatowem z gimnazyum, wyższą szkołę żeńską itd. *Szosa i dworzec w miejscu.* Obszaru przeszło 2000 mórg incl. 600 mórg pięknego lasu i 200 mórg najlepszych łąk. *Ziemia pszenna-buraczanna I kl., drenowana i w wysokiej kulturze.*

Bardzo dobre budynki, przestronny dwór, śliczny park, bogaty inwentarz, gospodarstwo renomowane. *Cukrownia w pobliżu; czysty dochód gruntowy przeszło 3 mk. z morgi.*

Zaliczki potrzeba z powodu działów — 200,000 mk. Majątek jest śliczny i wartościowy, gospodarstwo bardzo zasobne; położenie nader korzystne w uroczej polskiej okolicy i niedaleko Poznania.

Tylko rodak może być nabywcą.

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
Rycerska 38. **w Poznaniu.** Telefon 1246.

Świetny interes!

Od nierodaka zamieszkałego po za granicą Księstwa, — jest nadzwyczaj korzystnie do nabycia śliczna

wieś rycerska

uchodząca bez przesady za perłę całej okolicy. Ziemia obiecana pszenna od skiby do skiby, drenowana, w starej wysokiej kulturze. Obszaru ca. 2000 mórg pod pługiem incl. 200 mórg nawodnianych łąk. *Cukrownia, dworzec i poczta w miejscu.* Cena już ostatecznie 550,000 m. przy zaliczce przynajmniej 150,000 m. Dochód gruntowy wynosi 6,000 mk.; taksa landszaftowa jeszcze z roku 1880 wynosi 468,000 m. Na majątku ciąży tylko landszaftu $3^1/_2{}^0/_0$. Znaczna kwota amortyzacyjna przypada nabywcy. Budynki masiw, bardzo dobre; silny inwentarz. Dwór wygodny, w starym parku, o 10 pokojach. *Żniwa* — incl. 200 mórg pszenicy i 150 mórg buraków, 200 mórg jęczmienia, 500 żyta itd. — *zapowiadają się świetnie.*

Drwęski & Langner
Dom Bankowo komisowy
Rycerska 38. **w Poznaniu** Telefon 1246.

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Dom mój

w najlepszem położeniu w rynku, w którym są 4 handle, łokciowy z garderobą, rzeźnictwo, mleczarnia, kolonialny z żelastwem i prywatne pomieszkania, mam zamiar dla niedostatecznego zdrowia z wolnej ręki sprzedać. Dla kupca każdej branży jest w tem miejscu **pewne utrzymanie.** Nabywca może także przejąć mój interes kolonialny z żelastwem, który od 10 ciu lat z dobrem powodzeniem prowadzę. 498

Stanisław Heil, Kruświca (Kruschwitz).

Wydawnictwo „Pracy“ w Poznaniu,

ul. Rycerska 38

poleca następujące piękne powieści

po cenie zniżonej, a mianowicie:

1. ***Listopad,*** romans historyczny z drugiej połowy XIII-go wieku, przez Henryka Rzewuskiego.

3 tomy (300 stron) **tylko 75 fen.**

Henryk Rzewuski jest jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszego stulecia. Powieści jego pochłaniane były przez współczesnych z tą gorączkową ciekawością, jaką tylko niepospolite talenty wzbudzić umieją. I z taką samą ciekawością będą czytywane i dziś wszelkie dzieła Rzewuskiego, z pośród których mianowicie romans historyczny „Listopad“ za perłę powieściopisarstwa naszego uchodzi. Polecamy więc powieść tę sumiennie, gdyż każdego ona zajmie.

Pragnąc zaś uprzystępnić każdemu nabycie tej obszernej a tak rzadko pięknym językiem barwnie napisanej powieści, oddajemy ***wszystkie 3 tomy*** (300 stron) za 75 fenyg., a więc *za bezcen.*

2. ***Krwawy Chrzest,*** powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez J. Dzierzkowskiego.

przeszło 300 stron **tylko 75 fen.**

Krwawy Chrzest — to obraz ponury, bo gdzie spojrzysz, tam prawie same mogiły... z których przemawiają dzieje przebrzmiałych zapasów, pełne grozy i rozpaczy; krew serdecznaj szczerze polska, obficie przelana na polu sławy; — na każde, stronnicy przemawia do Ciebie, Czytelniku, to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud kochany i polskiego ducha...

Tu syn chłopa i dziecię senatorskie walczą zarówno o to, co nam najdroższe, najświętsze — o wolność...

I tętni kałakoł pocztowy swym głosem dzikim, tętni coraz dalej a dalej, coraz ciszej i ciszej, niknie kibitka za kibitką w niezliczonym pochodzie — na Sybir...

Przy czytaniu zakręci się łza w oku a z piersi wyrwie się mimowoli jęk bólu, ażali umilknie zupełnie na ziemi naszej dzwon męczeństw narodowych...

3. ***Pijaczka,*** powieść w 2 częściach, tłomaczona z francuzkiego —

powieść kryminalistyczna, osnuta na prawdziwych, pełnych tajemniczej grozy zdarzeniach, pochłania uwagę czytelnika od początku do końca.

Pióro autora odznacza się niezmierną żywością i biegłością, co razem z poprzedniemi zaletami stanowi wielką wartość dziełka, pomimo której wyznaczyliśmy bajecznie nizką cenę, bo tylko

60 fen.

Pieniądze najlepiej przesłać przekazem pocztowym.

Wydawnictwo „Pracy“
(Księgarnia wysyłkowa)
w Poznaniu (Posen)
Rycerska 38.

Browar.

Mam zamiar z powodu śmierci mojego męża **sprzedać** jedyny ***browar z kompletnem urządzeniem,*** z wielkim ogrodem zdatnym do budowy i 30 mórg najlepszej ziemi. Z browarem połączona jest ***restauracya*** z realnym konsensem z jedyną największą salą przynoszącą 2000 mk. dotychczasowej dzierżawy. 462

A. Ciemierska, Września.

Bliższe szczegóły poda piśmiennie

A. Ciemierski, Konarzewo p. Krotoszyn.

Wila

z pięknym ogrodem

na jednem z Poznańskich przedmieść jest **zaraz** przy małej zaliczce do **sprzedania.**

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **S. 100.**

Nuty

do 110 pieśni polskich do śpiewu i na fortepian, 300 przeszło pieśni do muzyki

razem 2 zeszyty o 318 stron.

zebrał **Fr. Barański.**

Piękny ten śpiewnik z ładną kolorową okładką kosztuje tylko mrk. 3,75, z przesełką mk. 4,25, w oprawie kartonowej mrk. 4,25, z przesełką mk. 4,75. 386

Nabyć można w każdej polskiej księgarni w Poznaniu.

Poszukuję najchętniej zaraz na prowincyi

handlu kolonialnego

połączonego z restauracyą lub też 489

destylacyą

celem ***zadzierżawienia.***

Zgłoszenia uprasza się do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. ***K. P. 13.***

Puszki
blaszane do szparagów.

Nożyce
do szpalerów i róż.

Lodownie

(szafy do lodu) **ulepszone go systemu. — Maszynki amerykańskie do wyrabiania lodów.**

Żaluzye

drzewiane i rolosy sztabikowe do okien.

Meble

ogrodowe (**krzesła,** ławki stoły, fotele). — **Krzesła trzcinowe, ściany drzewiane.**
Maszynki do koszenia trawników.

Wanny

do **kąpieli nasiadowych,** zwyczajne i bujane, **bardzo praktyczne (Schaukelbadewannen do kąpieli potrzeba 80 litr. wody) po mk. 42,00** za sztukę, poleca

T. Otmianowski

właściciele: (807)

B. Ziętkiewicz — S. Mińcikiewicz

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko.

Dla Rodaka!

Piękne gospodarstwo

70 mórg bardzo dobrej roli, 20 mórg dobrej i żyznej łąki, z budynkami i inwentarzem, jest z powodu stosunków familijnych do sprzedania.

Kto ma 12—15 tysięcy marek i chce mieć pewną egzystencyę, niech się zgłosi do ekspedycyi „Pracy“ pod **nr. 128.** 499

Willa

w **Zakopanem** położona w najromantyczniejszej okolicy, dwupiętrowa, o 30 pokojach, przytem oficyna, piękny ogród, werandy itd. jest z powodu podeszłego wieku właściciela do *sprzedania.*

Cena 75 tysięcy florenów, zaliczka 50 tys. florenów.

Bliższych objaśnień, lecz tylko wprost reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY
Drwęski & Langner
Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Willa

w **Zakopanem** wysoko leżąca, z cudnym widokiem na okolicę; 3 lata jak budowana — powodzenie dobre — 12 pokoji gościnnych, śliczny ogród itd. jest za bajecznie tanią cenę z powodu przesiedlenia właściciela do ***sprzedania. Cena 35 tysięcy florenów,*** które muszą być gotówką wypłacone.

Bliższych objaśnień, lecz tylko reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY
Drwęski & Langner
Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

P. P.

Szanownej Publiczności **Pokoju (Carlsruhe O. S.)** i okolicy mam zaszczyt donieść niniejszem, że z dniem 1 Lipca przejąłem

handel towarów kolonialnych, win, cygar i nasion

p. **A. Schwientka** i takowy nadal pod firmą

St. Miedziński

prowadzić będę.

Staraniem mojem będzie skorą i rzetelną usługą oraz li tylko doborowym towarem zaskarbić sobie względy i zaufanie W. W. Szanownej Klienteli.

Prosząc o poparcie mego interesu, pozostaję

z głęb kim szacunkiem

490 **Stanisław Miedziński**

W obronie honoru mego

upraszam wszystkie te osoby, które sądownie pod przysięgą zeznać mogą o najniegodziwszych oszczerstwach, na mnie rzucanych, i wskazać tych ludzi, którzy obrażają i zohydzają mnie, aby się bezzwłocznie zgłosili do mnie. 491

Postaram się o to, aby oszczerców najsurowsza spotkała kara.

Poznań, w lipcu 1902.

Kornel Buchholz

zastępca firmy

„Hartwig Kantorowicz,“

Plac Bernardyński nr. 2.

J. Silski,

mistrz stolarski,

Poznań, ulica Wrocławska nr. 31

poleca swój

magazyn mebli

załoź. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu,* znanej dobroci.

Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader nizkich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu 463

z zakładem wodoleczniczym.

Kuracye dyetetyczne.

Kuracye na schudnięcie i na utycie.

Kąpiele elektryczne świetlane (nowo urządzone). — Kąpiele wszelkiego rodzaju. Masaż, gimnastyka szwedzka, leczenie elektrycznością.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

„Justitia“

Bióro informacyjne i komisowe

pośredniczy w wszelkich sprawach.

ul. Wiedeńska nr. 8, I p.

J. N. Szulc.

Kupno okolicznościowe.

Gospodarstwo 210 mórg obszaru incl. 180 mórg znakomitej ziemi, po większej części spód gliniasty ca. 20 mórg dobrych łąk, 10 mg. lasu, 5 minut od miasta targowego, w powiecie Neidenburg (Wsch. Prusy) z kompletnym żywym i martwym inwentarzem, żniwa zapowiadają się świetnie, jest zaraz dla ***zmiany stosunków*** za tanią cenę 30 tys. marek na ***sprzedaż.*** Zaliczki potrzeba najmniej 7—10 tysięcy marek. Ziemia leży w jednym planie, dla tego gospodarzyć łatwo. Wielki ***pokład gliny,*** nadaje się korzystnie na ***cegielnią,*** gdyż cegła tamże jest bardzo pożądaną. — Gospodarstwo leży przy szosie i koleji ca. 10 kilometrów oddalone. Inwentarz żywy i martwy kompletny. Budynki w dobrym stanie. 500

Kupujący zechcą jak najprędzej z właścicielem się porozumieć. Adres pod lit. ***J. H. 698*** do ekspedycyi anonsów ***Haasenstein & Vogler Act. Gesellschaft, Königsberg O/Pr.***

OSOBA

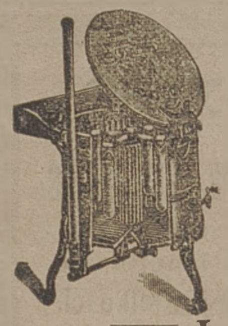
z dobrego domu, która umie gotować i panią domu we wszystkiem wyręczyć, może się zgłosić od 1 Września lub Października. 497

Zgłoszenia do. eksp. „Pracy“ p. lit. H. 3653.

DZIECKO 484

porządnej kobiety, chce dać **na wychowanie w miejscu lub na prowincyą.**

Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ p. l. ***N. P. 484.***



Maszyny

do prania bardzo praktyczne całe dębowe, niezbędne w każdem gospodarstwie z powodu znacznej oszczędności czasu i bielizny po Marek 55,00 za szt.

Wyżdżymalnie

maglownie, ramy do suszenia firan. Nowość! żelazka gazowe do okowity denaturowanej, po m. 8 za sztukę.

Łóżka

dla dorosłych i dzieci, żelazne, wyściełane angielskie całe mosiężne poleca 307

T. OTMIANOWSKI.

właściciele:

B. Ziętkiewicz — S. Mincikiewicz.

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko.

Szanownej Publiczności miasta **Gniezna** i okolicy pozwalamy sobie uniżenie donieść, że przejęłyśmy 868

magazyn stroji i towarów krótkich

pod firmą

H. & W. Mąke

i takowy nadal pod tą samą firmą prowadzić będziemy.

Prosząc o łaskawe poparcie, starać się będziemy Szanowną Klientelę pod każdym względem zadowolić.

Mając dostateczną i długoletnią praktykę poza sobą, jesteśmy w stanie wszelkim wymaganiom zadość uczynić, poczyniwszy osobiście w Berlinie zakupno **świeżych modeli, oraz wszelkich nowości sezonowych.**

Z wysokim szacunkiem

Jadw. Kmiecikowska. Felicya Orańska.

Gniezno, ul. Tumska nr. 5.

Mój hotel

w Pr. Starogardzie w samem mieście, korzystne położenie, bardzo wielkie podwórze, piękny, wielki ogród, sala, meblowane pokoje, nowa kręgielnia i t. d., mam zamiar z powodu śmierci zaraz pod korzystnemi warunkami sprzedać. Zaliczka 18,000 mk. 482

Zgłoszenia pod **nr. 4939** do ekspedycyi „Pracy.“

DOM

na prowincyi w mieście z obszernem podwórzem i stajniami, w którym prowadzę ***handel kolonialny i wyszynk*** z dobrem powodzeniem mam zamiar zaraz ***sprzedać*** z powodu innego przedsiębiorstwa. Łaskawe zgłoszenia do eksp. „Pracy“ p. nr. ***471.*** 471

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2

poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę

na tabaki ruskie, holenderkę,

prawdziwy Nessing.

Polecam także swój znany

skład cygar

li tylko odleżałych.

Papierosów i tytuni

w najrozmaitszych gatunkach.

NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

Dobre mydło

kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

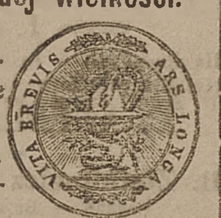
Piegi usuwa i konserwuje płeć

hygieniczne mydełko lanolinowe.

Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.



Kawaler, kupiec, liczacy 25 lat, miłej powierzchowności, posiadający skład kolonialny i 3000 mk. gotówki, szuka dla braku znajomości pań 508

towarzyszki życia.

Panienki w wieku 18—25 lat chcące wyjść za mąż, posiadające lub w spadku odbierające dobrze zaprowadzony interes lub oberżę, czy to w mieście lub na wsi, zechcą się z dołączeniem fotografii oraz podaniem bliższych szczegółów zgłosić do eksped. „Pracy" p. **nr. 105.**

Dyskrecya rzecz honorowa. Żarty się wyprasza.

Rodak z obczyzny, ślusarz-maszynista i tokarz, kawaler, 26 lat liczący, posiadający mały majateczek i dobre świadectwa majsterskie, obeznany w budowie wszelkiego rodzaju maszyn rolniczych (do sieczenia, młócenia i t. d.), jak i reparacyi oraz w cukrowni dobrze obeznany, poszukuje stósownego i stałego miejsca w fabryce lub w wielkim dworze, lub też objęcia mniejszego warsztatu w celu 492

ożenku

na prowincyi lub w Król. Polskiem.

Łaskawe zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. **F. N. 492.**

Kupiec kawaler, 27 lat, właściciel dobrego interesu etc. w średniem mieście (polskiem) poszukuje dla braku znajomości pań 487

towarzyszki życia.

Panny lub młode wdowy od 18 do 26 lat, z majątkiem, dobrem wychowaniem, dobre Polki i katoliczki, zechcą łaskawie swe oferty wraz z fotografiami, które się zwraca, nadesłać do eksped. „Pracy" pod **B. B. 487.**

Dyskrecya rzecz honorowa, żarty się wyprasza.

Kuchmistrz

który w przeciągu 11 lat pracował przeważnie tylko w pierwszorzędnych hotelach w Niemczech, Szwajcaryi i w Warszawie, szuka od 1 października stałej posady albo stałego zimowego zajęcia w jakim hotelu lub też w lepszym domu prywatnym w Poznaniu. 501

Oferty uprasza się do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **A. H. nr. 501.**

---

10 książek

różnej treści zamiast 32,30 m. za tylko **3,50 m.** Serya II.

1—2) „Obraz wieku panowania Zygmunta III-go króla polskiego i szwedzkiego" przez X. Fr. Siarczyńskiego, 2 tomy, Poznań cena 12 mk.

3) „Polska w złotym wieku" przez Moraczewskiego, cena 4 mk. 50 fen.

4) „Piśmiennictwo polskie w zarysie" przez Dembowskiego, Poznań, cena 6 mrk.

5) „Głos wolny wolność ubezpieczający" przez St. Leszczyńskiego, cena 2 m.

6) „Oświata w Polsce i u Niemców za czasów Kopernika i dzisiajszych czasach" przez Buszczyńskiego, cena 1 mk. 50 fen.

7—8) Poezye X. St. Grochowskiego 2 części Kraków, cena 3 mk. 50 fen.

9) „Zdanie syna koronnego o pięciu rzeczach Rzeczypospolitej polskiej należących" przez X. P. Grabowskiego, Kraków, cena 80 fen.

10) „Niekomiczna komedya" przez Narzymskiego, Poznań, cena 2 mk.

Na przesyłkę do 10 mil 25 f. — na dalsze odległości 50 f. — przez zaliczkę 20 fen. więcej poleca księgarnia:

N. Kamieńskiego i S-ki
w Poznaniu
ulica św. Marcina Nr. 16/17.

Polskie tańce

na fortepian 2 ręce

zawierają najpiękniejsze mazury, polki, polonezy, galopy, krakowiaki i kujawiaki: Moniuszki, Lewandowskiego, Ogińskiego, Łady, Kątskiego, Osmańskiego, Lipińskiego, Winnickiego i t. d. 2 tomy. Cena tylko **3,20 m.** z franco przesełką, przez zaliczkę **3 mk. 40 f.**

—

Polskie tańce

na skrzypce

zawierają te same tańce co powyżej na fortepian. 2 tomy, cena tylko **2,20 mk.** z fr. przesyłką — za zaliczką **2 m. 40 fen.** poleca księgarnia: **N. Kamieńskiego i S-ki**

—

NA FORTEPIAN!

Wieniec ulubionych melodyi narodowych

w łatwym stylu ułożonych na fortepian na 2 ręce, przez K. Petersa, dwa zeszyty, zawierające: krakowiaki, polonezy, kołomyjki, marsze (Chłopickiego, Kościuszki, Poniatowskiego, Dwernickiego, Chopina) pieśni patryotyczne, wyjątki z polskich oper Halka, Paziowie królowej Marysienki i Verbum nobile; dumki, obertasy i t. d. Cena za 2 zeszyty tylko **3,20 mk.** z fr. przesełką — przez zaliczkę **3,45 mk.**

—

Zamiast 5 marek
tylko 1 mrk. 20 fen.

GRAMATYKA FRANCUSKA
dla Polaków
przez *Ollendorfa.*

Według wybornej tej gramatyki nauczyć się można w krótkim czasie mówić i pisać po francuzku. Gramatyka ta zawiera 2 tomy. Za nadesłaniem **1,40 m.** przesełka franko — przez zaliczkę **1 m. 60 fen.** poleca księgarnia

N. Kamieńskiego i S-ki
w Poznaniu,
ulica św. Marcina Nr. 16/17.

Teatr poznański

w Koźminie

na sali hotelu du Nord.

Tylko dwa przedstawienia:

W poniedziałek, 7-go b. m. „Leosia Puciatówna" („Panie Kochanku").

W wtorek 9 b. m. „Azya Tuhajbejowicz."

Bilety wcześniej do nabycia w składzie p. S. Podlewskiego w rynku.

—

W Krotoszynie

na sali Koncertowej (p. Stenzla).

W środę 9-go „Dzierżawca z Olesiowa."

W czwartek 10-go „Odrodzenie."

W piątek 11-go „Ulicznik paryzki."

W sobotę 12-go „Państwo Wackowie."

W niedzielę 13-go ostatnie przedstawienie: „Azya Tuhajbejowicz."

Bilety wcześniej do nabycia w Księgarni pana Masłowskiego.

Dzierżawy.

Na ul. Długiej nr. 8 part. jest od 1. 10. do wynajęcia.

lokal

stósowny na handel lub restauracya. (g)

Ogrodowa 11.

Mieszkanie: 6 pokoi, erker, łazienki, kuchnia, obszerne przynależytości, zaraz lub od 1. 10. do wynajęcia. Tamże stajnia. Szczegóły: Ogrodowa 13. wejście IV II p. nalewo.

Sprzedaże.

Powóz półkryty (koczyk) mało używany, lekki, zupełnie w dobrym stanie mam tanio na sprzedaż **J. Polcyn**, pojazdnik, Małe Garbary nr. 8 (g)

Wielka

skrzynia do pościeli

jest *tanio do nabycia* ul. Kopernika 1, II p.

Wolne posady.

Poszukuję 480

Nauczycielki

do dziewczynki 10-letnej.

Oferty z bliższemi warunkami uprasza

Marya Kurek
Schewen p. Schönsee.

Poszukuje 493

2 chłopców

zaraz lub później do mego warsztatu *tkackiego*, do wyrabiania jedwabnych materyi, damaszku i na kamizelki, oraz rysowania i patronowania. Nauka 4 tygodnie, potem na akort, zarobek podług zdolności chłopca 15—28 mk. tygodniowo.

Synowie porządnych rodziców i ze szkólnem świadectwem, którzy już 16 lat skończyli mogą się zgłosić do *M. Tuszyński, Elberfeld,* Marienstrasse Nr. 15.

Pomocnicy

blacharscy

mogą zaraz się zgłosić, za dobrą płacą i stałe zatrudnienie do 486

W. Charaszkiewicza

mistrza blacharskiego

w Lesznie i/P.

ulica Bismarcka Nr. 8.

Potrzebne są

2 uczennice

od zaraz **płatne.**

Zgłoszenia Wiedeńska ul. Nr. 8 I piętro. Konfekcya damska. (g

---

Ucznia

przyjmie zaraz

J. Borowski

handel żelaza,

Strzałkowo. 485

Ucznia

syna porządnych rodziców zamiejscowych z odpowiedniem wykształceniem szkólnem, przyjmie zaraz *drogerya*

S. KAJA,
Żnin. 502

Do handlu kolonialnego i wyszynku poszukuję 495

2 uczni

TEOFIL HOFFMAN,
Środa.

Ucznia 494

syna porządnych rodziców z lepszem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz

J. Grochowski,
drogerya, JAROCIN.

Poszukują umieszczenia.

Tercyaner

poszukuje miejsca zaraz jako 472

ucznia w drogeryi.

Zgłoszenia przyjmuje

Z. Majer
apteka,
Żerków.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

______________, den ______________

Kaiserl. Post______________

Prosimy odciąć!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

______________, den______________

Kaiserl. Post______________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

______________,den______________

Kaiserl. Post______________